



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBURG.**

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY
Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80. W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50. W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

EMIL VAN ARENBERGH.

Z nowej poezji belgijskiej. DE PROFUNDIS.

Na dnie otchłani, zkąd, w nocy bez końca,
Jęk wieczny bije przez czasów przestrzenie,
Ocean żywych wije się, roztrąca,
A wiatr unosi w próżnię jego wrzenie.

Od spadających weń znów fal tysiąca
Ten przypływ ludzki wzrasta niezwalczenie;
Z opadłej fali nowa fala grzmiąca
Wstaje — i wyżej tryska w mroczne cienie!

A gdy na stoki przepaści ponure,
Pieniąc się, rzeżąc, Ludzkość drze się w górę,
Jak fala morską, co wzbiera zdaleka, —

Tam, nad urwiskiem, w świtów różności,
Na krzyżu, zbudzon jękami ciemności,
Chrystus objęcia otwiera — i czeka.

Przełożył z francuzkiego

Miriam.

POGA WĘDKA.

Coraz bardziej zbliżamy się do kanikuly i sezonu ogórkowego; poznać to po rozmaitych objawach na ziemi i na niebie.

W miarę, jak się podnosi termometr rtęciowy, coraz słabiej tętno towarzyskiego życia uderza, coraz bardziej wyludnia się Warszawa. Letnie mieszkanka coraz więcej roją się od powietrzników i coraz więcej kuracjuszków udaje się zagranicę spać mineralne wody u źródeł i kąpać się dla zdrowia lub dla zwyczaju.

W jednym z pism humorystycznych czytałem niedawno bardzo dobry sezonowy dowcip, w którym wiele prawdy się mieści. Żona powiada do męża:

- Mężu, kup mi „podręcznik dla chorych.“
- A to na co? — pyta zdziwiony mąż.
- Abym sobie wybrać mogła jaką chorobę przed wyjazdem zagranicę.

Tego rodzaju żon znalazłoby się niemało wśród zastępu nadobnych połowic, które już wyjechały, albo właśnie pakują swoje nowe toalety do użytku zewnętrznego w letnim sezonie.

Niepodobna zaprzeczyć, że wyjazd za granicę jest do pewnego stopnia modą u nas i że najtrudniej raz spróbować tej wycieczki; potem już trudno się powstrzymać. Wytwarza się w człowieku jakiś pęd instynktowy, jak u wędrownych ptaków; trudno usiedzieć na miejscu, gdy tylko słońce przygrzeje i gdy do lotu zrywać się zaczęły salony nowe jaskółki.

Nie mówię o tych, co z konieczności, dla zdrowia, z prawdziwej potrzeby i na zalecenie lekarza jadą do rozmaitych *badów*, *kurortów*, stacyj klimatycznych; ci są usprawiedliwieni.

Ale ci inni, którzy sobie wyszukują pretextów, aby wyjechać, którzy wmawiają w siebie chorobę aby się niby leczyć i to leczyć koniecznie zagranicą, koniecznie gdzieś w Trouville albo Ostendzie, koniecznie tam, gdzie się zbiera piękny świat, liczne towarzystwo międzynarodowe, gdzie się można pokazać i widzieć innych, — ci chorzy są tylko na zadawnioną, jedyną chorobę, która nas drogo kosztowała i której się nie udało wykorzenić dotąd u nas: na „podróżomanię.“

Wyśmiewał ją kiedyś ze sceny jeszcze Korzeniowski, ale i dzisiaj tensam temat nie zwietrzzał, i dzisiaj jeszcze jest na czasie dla komedypisarza, humorysty lub satyryka.

Ostatnią nitką, która nasz *high-life* wiąże dotąd w Warszawie, są wyścigi. Wszystko, co się na sporcie zna lub udaje znawstwo, chodzą i jeżdżą pilnie na Mokotów przypatrywać się trochę koniom, trochę sobie, szukać wrażeń w guście angielskich lordów i próbować szczęścia na totalizatorze.

W roku zeszłym, gdy z polecenia władzy wyższej podniesiono ceny biletów do 10 rs. na tej hazardowej loteryjce, zdawało się, że to będzie środkiem hamującym namiętność graczy; tymczasem doświadczenia nowe okazały, iż totalizator ma powodzenie, jak dawniej.

Jedni sami grają, ryzykując znaczniejsze summy, drudzy zawiązują spółki udziałowe i dają się kusić wygraną. Dawniej rubla stawiano na tę loteryję konskich nóg i dżokejskich ostrogów; dzisiaj sypią się dziesięciorublowki, a różnica wygranych zamiast odstręczać, wabi jeszcze bardziej i zachęca.

Jakżeż się oprzeć nadziei zdobycia dwustukilkunastu rubli za swoją stawkę, jak to się działo na wyścigach zeszłotygodniowych, na których totalizator przypadkowo wypłacał prawie dwadzieścia dwa razy ryzykowane udziały!...

Każdego dnia wyścigów mniej więcej około dziesięciu tysięcy rubli przechodzi przez okienka

totalizatorów i zmienia kieszenie swych właścicieli.

Gdyby jednak głosem rozsądku i uczciwości przemówić do tych wszystkich, którzy grają i gotowi są przegrać niekiedy całą swą gotówkę:

— Panowie i panie, zróbcie dobry uczynek, dajcie dziesiątą część waszej stawki na jaką wielką publiczną lub prywatną potrzebę, wesprzyjcie jakiś piękny lub pożyteczny cel, wrzucicie co do skarboxy jałmużniczej!

Gdyby tak do nich przemówić, wzruszyliby pogardliwie ramionami, ofuknęli nowego Baudouina, nazwali go „kiepskim waryatem“ i pokazali mu plecy.

Namiętność ludzka ma bardziej przekonującą argumenta i sofizmata od głosu serca i rozsądku.

Jestem pewny, że gdyby na trybunach wyścigowych i na budkach totalizatora umieszczono puszki w celu zbierania składek na najbardziej filantropijne lub humanitarne cele, pozostałyby puste, albo co najwyżej znalazłby się w nich jakiś miedziak, rzucony ręką ubogiego, który cnotę miłosierdzia wypełnia jako obowiązek religijny.

Powiadają, że pod względem hippicznym wyścigi tegoroczne są dość zajmujące, chociaż nadzwyczajnych „gwiazd“ czworonożnych na torze nie widać.

Różne znakiomitości *in spe* debiutują tu dopiero i zdobywają pierwsze laury.

Co za szkoda, że te wszystkie primadonny turlu i bohaterowie z pola mokotowskiego nie umieją czytać i od najlepszego dziennika wolą wiązkę siana, albo garść świeżego owsa; rżałyby z radości i zachwyty, przeglądając całe felietony i całe szpalty sprawozdań o swoich biegach.

Przyznam się, że najdowcipniejsze felietonowe sprawozdania, które wprowadził mój przyjaciel Ta. Cza. z nieśmiertelnym *All right!* — wydawały mi się zawsze zbyt wielkim zaszczytem dla końskiego rodu i marnowaniem miejsca w poczytnych pismach. Dla tych, którzy na własne oczy widzieli, jak Singelton o długość siebie samego przepędził Miss Flower — nie są to wcale rzeczy nowe i zajmujące; dla tych zaś, którzy tego wiekopomnego faktu nie widzieli, wystarczyłaby krótka wiadomość bez stylistycznych ozdóbek, że do mety przybiegły konie w takim a w takim porządku, z takim a takim zwycięzcą na czele.

Lakonizm w tym razie byłby właściwszym, niż ton epiczny i sadzenie się na dowcip i humor, który z konieczności musi być wymuszonym i szablonowym, gdy się tyle razy na jeden temat powtarza.

Nadto dziwną jest ta nieproporcjonalność w traktowaniu jednej gałęzi sportu z innymi najważniejszymi wynikami działalności na polu publicznym.

Iluż autorów i artystów, ile książek i obrazów, kompozycji, dzieł naukowych, wynalazków, ileż pracy i talentów w rozmaitych dziedzinach ludzkiego intelektu nie zasługuje w naszej prassi na właściwą uwagę i ocenę: a konie, dżokeje, hodoicy w wyścigowym sezonie mają przywilej do miejsca w dzienniku do sprawozdań i artykułów na gorąco pisanych, bez zwłoki, z pierwszeństwem przed ważniejszymi kwestyami.

Niech sobie dokładnie i szczegółowo rejestruje cały przebieg wyścigów *Sport*, który jest specjalnym organem do tego, — inne pisma mogłyby lepiej zużytkować miejsce koniom poświęcane.

W wydawnictwie *Sportu* zaszła nowa reforma; redakcja jego wyrzekła się pierwotnych swoich zamiarów stworzenia dziennika, któryby łączył piękno z pożytkiem w tym specjalnym kierunku.

Usiłowania dotychczasowe przyniosły zawód; wytworna sukienka, staranna część ilustracyjna i literacka, na wabika dla czytelników w wyższych sferach, kosztowały za drogo a celu nie osiągały. P. Romiszowski postanowił tedy wydawać *Sport* tylko jako pismo fachowe, przeznaczone dla najbliższych interessowanych, zapełnione wiadomościami, które samych sportsmenów obchodzić mogą.

Jako organ, dziś już urzędowy, wioślarzy i cyklistów, *Sport* ukazywać się odtąd będzie stale

raz na miesiąc, z dodatkami w nadzwyczajnych wypadkach; około Nowego Roku zaś wystroi się odświeżnie i przyniesie swoim prenumeratorom wiązaną ilustrację i artykułów literackich.

Może to i lepiej.

Dziwny to objaw, dziwny i niezaszczytny, że pomimo stanowczego poprawiania się stosunków przemysłowych i finansowych u nas, ciężkie czasy nie przestają dokuczać wydawcom i prassie; stare poważne pisma, jak *Kłosy*, muszą zawieszać wydawnictwo swoje po dwudziestopięciu latach istnienia, właśnie w dniu swego srebrnego jubileuszu. Podobny los spotkał *Tygodnik Powszechny*, który z popiołów odradzał się pokilkakrotnie, ale nigdy dłuższym żywotem się nie cieszył po złożeniu go na ofiarę *Tygodnikowi ilustrowanemu*.

Dzienniki nasze z małymi wyjątkami, jeśli nie żyją z miesiąca na miesiąc, to dają tak nieznaczny procent od włożonego kapitału, że finansowo nie są żadnym interessem.

Miesięczniki żyją ofiarnością swoich wydawców i protektorów.

Na pocieszenie powiadamy sobie: „Za dużo pism u nas wychodzi, mamy prasę za liczną, ponad potrzeby“...

Albo to prawda!... Należałoby powiedzieć: „Czytamy zamało, zamało zajmujemy się drukiem, jak na oświecone społeczeństwo wypada.“

„Bibuła,“ — tak się jeszcze pogardliwie nazywa u nas gazetę — jest ostatnim wydatkiem w budżecie domowym, u większości.

Co tu się porównywać z zagranicą, albo z Cesarstwem, gdzie stosunkowo i pism więcej na ogół wychodzi, i ceny bywają droższe!

Każdy przeciętny „intelligent“ broni się od zarzutu obojętności i obskurantyzmu w stosunku do wydawnictw odpowiadających umysłowym potrzebom średniej nawet miary, takim wyszarzanym argumentem:

— Et, w naszych pismach niema nic do czytania, same nudy!

— A czytałeś je dobrodziej przynajmniej?

— Po co mam czytać? szkoda czasu! Z góry wiem przecież, że nic w nich nie znajdę. Zresztą, gdzie tam człowiek ma głowę do tego! — kłopotów po same uszy, bieda aż piszczy. Człowiek nie wie co do ust włożyć i gdzie robaka zalewać.“

Tymczasem dzisiaj wkłada, co ma pod ręką najlepszego i zalewa na frasunek robaka czem się zdarzy.

Pisma upadają lub podpadają w dalszym ciągu, wydawnictwa zaledwie się rozlażą, ale szynków przybywa, ogródków, restauracji, bawaryjek wyrasta z każdym rokiem coraz więcej, aby... „człowiek miał co do ust włożyć i gdzie robaka zalewać.“

„Czytajcie cyfry!“ — woła Prns w swoich bardzo zajmujących artykułach, drukowanych obecnie w *Kuryerze Codziennym*, i na tych cyfrach wykazuje, iż znowu tak bardzo się nie cofamy i takiej niedzy nie cierpimy, skoro i produkcyja się zwiększa, i ruch handlowy na ogół się ożywia, i siły robocze się mnożą, i kapitały coraz większe w obieg się puszczają.

Statystyka przemysłowa i rękodzielnicza w samej Warszawie za rok zeszły stwierdziła we wszystkich niemal kierunkach znaczny przybytek w porównaniu z rokiem poprzednim.

Warszawskie rękodzielnie i warsztaty wyprodukowały na półtora miliona rubli przeszło więcej wyrobów niż w roku 1888-ym, używszy prawie za pół miliona więcej surowych materiałów.

Podniosła się również ogólna wartość inwentarza w maszynach, rzemieślniczych przyrządach i narzędziach o 536.550 rs. Przybyło sił roboczych w rzemieślnikach, zaś majstrów i właścicieli zakładów rękodzielniczych mieliśmy o 424-ch więcej, niż w zaprzyszłym roku.

A jednak ciągle utyskujemy na zastój, na złe czasy, na fatalne interesa.

Nie trzeba przerzucać się z krańca w kraniec, z czarnego pesymizmu do różowego optymizmu; ale nie należy też zaprzeczać faktom i stękać zyczajem niedolegów lub obłudników, narzekając,

że — „coraz gorzej, coraz bardziej się rwie ze wszystkich końców.“

Ubiegły karnawał świadczył, że umiemy się postawić, nawet bez zastawiania się; gdy potrzeba dogodzić chwilowym zachciankom lub fantazyi, gdy chodzi o zabawę, o zbytek, o szyk, gdzieś, jakoś, z kąśś biorą się pieniądze i starczy na wszystko.

Bądźmy szczerzy nawet z kredką w rękę, a chyba damy radę najważniejszym potrzebom; tylko, niestety, do tych najważniejszych potrzeb nie nauczyliśmy się jeszcze zaliczać obowiązków względem własnej głowy i ogólnej oświaty.

Ogromna większość ludzi u nas wyznaje zasadę płci pięknej, że najważniejszą potrzebą głowy jest... nowy kapelus.

W tej mniejszości zaś znajdują się, na szczęście, ludzie, którzy rozumieją i inne jeszcze potrzeby, pamiętają o nich i starają się je zaspakajać.

Jakkolwiek nasza dobroczynność, w ostatnich latach zwłaszcza, dziwnie się ograniczyła, coraz mniej ofiar napływa na te same cele, które dawniej były w modzie i doznawały wielkiego poparcia, jednak od czasu do czasu zdarzy się fakt, godny uznania, który świadczy, że mamy wyjątkowych filantropów, szlachetnych, rozumnych i hojnych, pojmujących swoje piękne zadanie służenia dobru publicznemu bez pretensyi do nagrody i rozgłosu.

Z ostatnich dni przychodzi mi zanotować dwie znaczne ofiary, obie bezimienne, złożone dla celów publicznych, obie po 10.000 rs.

O pierwszej wspominała *Medycyna*, jako o darze na założenie jakiegokolwiek instytucji higienicznej imienia d-ra Chałubińskiego; nad najwłaściwszym sposobem zużytkowania tego funduszu obraduje obecnie grono lekarzy.

Projektów mogłoby się znaleźć dużo, bo pod względem higienicznym mamy jeszcze bardzo wiele do zrobienia; trzeba więc zrobić najprzód coś takiego, co byłoby najpilniejszym.

Drugi dziesiątek tysięcy osoba nieznana złożyła na ręce mecenasa Lucyana Wrotnowskiego z przeznaczeniem ich na zakupno własnego domu dla „Macierzyństwa“ pod warunkiem, aby to towarzystwo dołożyło ze swoich kapitałów potrzebną resztę i do dnia 1-go Lipca r. b. nabyło odpowiednią nieruchomość.

Opiekunki matek i ubogich dzieci pośpieszyły się z wypełnieniem tego warunku, energicznie rozstrzygnęły sprawę, wynalazły sobie przy ulicy Hożej bardzo wygodną possessyę za 16.000 rs. i kupiły ją za gotówkę; ale musiały naruszyć swoje fundusze rezerwowe, uszczuplić kapitał, z którego odsetki idą na utrzymanie zakładu i coraz liczniejszych wychowalców.

Uczyniły to wszelako w nadziei, że dobry przykład ofiarodawcy czy ofiarodawczyni znajdzie naśladowców, zachęci kogoś drugiego do nowego zapisu i wypełni znowu budżetową lukę instytucji, mającej ważne humanitarne zadanie do spełnienia.

Po zbrodniach Skublińskiej w Warszawie wykryto równie potworne dzieciobójstwa w Wilnie przed kilkoma tygodniami, a w ostatnich dniach znaleziono jeszcze jedną norę z pięcioma pomordowanymi niewiniątkami.

Widać z tego, że tych officjalistek króla Heroda w każdym większym mieście musi być kilka, jeśli nie kilkanaście, na których trop przypadają naprowadza karzącą sprawiedliwość. Trzeba zatem znaleźć konieczne środki przeciwdziałania i ograniczenia złego przynajmniej do minimum, jeżeli go z korzeniami wypłenić niema sposobu.

Towarzystwo Dobroczynności zaczęło się właśnie naradzać nad założeniem nowego przytułku czy ochronki, któraby przyjmowała dzieci „na garnuszek“, ale złożone dotychczas ofiary są jeszcze tak niedostateczne, że przy tym filantropijnym garnuszk, który miłosierdzie publiczne ma napełniać, biedne dzieciaki nie byłyby sytsze, niż pod opieką Skublińskiej.

Pozostaje zatem *de facto* jedyna instytucja, mogąca złemu coraz skuteczniej zaradzać, t. j. „Macierzyństwo“ i tej należałoby to zadanie wszelkimi środkami ułatwiać.

Co za szkoda, że naszej filantropii nie można oddać komu w entrepryzę!... gdyby się znaleźli jacy zagraniczni przedsiębiorcy dla tego rodzaju interesów publicznych, jestem pewny, że wszystko poszłoby gładko, jak po maśle.

To dziwna rzecz, że kiedy my nie możemy się dopatrzeć u siebie żadnych korzystnych operacji, cudzoziemcy innego są widocznie zdania, bo ofiarują nam swoje usługi, swą pracę i swoje kapitały.

Ten sam p. Devars, który wystąpił z projektem obulwarowania Powiśla za pieniądze swoich rodaków, wystąpił w ich imieniu z nową propozycją: oto oświadczył on zarządowi miejskiemu gotowość dostarczenia pożyczki w kwocie czterech milionów na wykończenie IV-tej seryi robót kanalizacyjnych, a następnie jeszcze trzech na wykończenie seryi piątej, *nb.* jeśli projekt budowy bulwarów przyjętym zostanie.

Francuzcy kapitaliści uważają, że lokacya funduszów w przedsiębiorstwa na naszym gruncie może być zyskowniejsza, aniżeli ich użytkownictwo we własnym kraju.

Kapitaliści nasi zaś muszą być odmiennego zdania.

Pytałem jednego z nich: skąd pochodzi ta nieufność do ryzyka naszych milionerów.

— Powiedzieć panu prawdę? — odrzekł po krótkim namyśle; — oto zdą, że pieniądze znalazłyby się do wszystkiego, ale głowy, doświadczonych energii, znajomości rzeczy nie znajdzie u nas w takim stopniu, aby jej zaufać można było większe summy na przedsiębiorstwa znaczniejsze.

— Czy to nie za pesymistyczny pogląd? — zauważyłem.

— Może, — ale cóż pan przeciw niemu poradzisz, skoro go wyrobiły dotychczasowe niepowodzenia i próby. Pieniądze są, ludzi niema; oto główny powód, że nas ubiegają cudzoziemcy na naszym gruncie. W każdym razie — zakończył — lepiej, że oni coś zrobią i postawią, aniżeli, żeby się nic nie robiło w dzisiejszym stanie rzeczy. Nam pozostaje od nich się uczyć i korzystać, oile możności, z cudzych przykładów.

Wiadomo, że dobry przykład uczy i działa zachęcająco, tylko że my wielu najprostszych rzeczy zbyt długo się uczymy i nauczyć nie możemy, opłacając drogie „frycowe.“

Za przykładem Warszawy, nie dość często, niestety, naśladowanym, prowincya zaprowadza u siebie pewne korzystne innowacje. Tak np. wizyty sympatycznej „Lutni“, która co roku urządza sobie zbiorowe wycieczki do większych miast gubernialnych w celach artystyczno-filantropijnych, oprócz pięknych wrażeń i wspomnień przyczyniły się do spopularyzowania pieśni, do rozmiłowania w śpiewie chóralnym, i oto Kielce i Radom mają już swoje „Luteńki;“ w obu tych miastach zawiązały się amatorskie chóry, które podczas tegorocznych odwiedzin warszawskich gości powitały kolegów śpiewem, wcale dobrze wyćwiczonym.

Radom nadto i w praktycznym kierunku naśladowuje Warszawę; w połowie Lipca b. r., będzie miał Bazar pracy kobiet, do którego przyjmowane będą w komis wszelkie wyroby kobiece i wszelkie obstalunki w tym zakresie.

Bazar radomski tem tylko różni się będzie od warszawskiego, że pozostawać ma pod firmą pojedynczej osoby, jak donosi „Gazeta radomska,“ bardzo przychylnie witająca ten projekt; bazar warszawski zaś jest spółką licznego grona uczestników.

Usiłowania tego rodzaju, oile mi wiadomo, pierwsze w mieście prowincjonalnem, powinnyby znaleźć poparcie, zarówno na miejscu, jak i w okolicy.

Płeć piękna umie być solidarną przy dobrej woli; ma zatem dobrą sposobność okazać, że w tej dość rzadkiej u nas cnocie potrafi górować nad mężczyznami.

*

*

*

W początku Czerwca ubył nam niestrudzony pracownik, zasłużony etnograf i muzyk, człowiek żelaznej wytrwałości a skromny i cichy, jakgdy-

by nie miał żadnych praw do publicznego uznania i wdzięczności ogółu.

W Krakowie umarł *Oskar Kolberg*; zeszłego roku obchodzono uroczystie pięćdziesięcioletni jubileusz jego pisarskiej działalności, umarł jako starzec wiekiem obarczony, ale w pracy nieustający.

Na łożu śmierci robił jeszcze korektę swojego dzieła, które pozostanie pomnikiem jego w literaturze. Przed pół wiekiem prawie wyszedł pierwszy zacek „Ludu polskiego“, do którego zbierał materiały niemal przez całe życie. Całość miała się zawrzeć w 28-miu tomach, rozpoczynały ją pieśni w słowach i melodyi zbierane przez muzyka, który wcześniej dopatrywał się w niej piękna i oryginalności; z czasem zakres tej pracy rozwinął się, i muzyka zastąpił skrzętny etnograf, który zagarnął pod swoje pióro cały obszar wiadomości o ludzie wiejskim, spisywał jego wyrażenia, gwarę, podania, przysłowia, klechdy i bajki, studiował życie, obyczaje i zwyczaje ludu, opisywał jego strój, zajęcia, pokarm, mieszkanka, gospodarstwo, zbierał typy i uzupełniał tę wszechstronną charakterystykę polskiego wieśniaka w rozmaitych okolicach kraju.

Dzieło jego stało się najpoważniejszym źródłem w tym przedmiocie.

Opracowywał właśnie zakończenie tego olbrzymiego studium, gdy go śmierć zaskoczyła.

Przez lat pięćdziesiąt rozsypał obok tej najważniejszej pracy bardzo wiele artykułów po czasopismach, encyklopediach, wydawnictwach specjalnych; wszystko z dziedziny etnografii lub muzyki.

W młodych latach kształcił się na kompozytora, zamiłowany w sztuce, dla której poświęcał kilka razy w życiu pewniejszy kawałek chleba w zawódzie praktycznym. Napisał kilka oper, z których jedna „Król pasterzy“, według libretta autora „Lirenki“, wystawiona była w Warszawie 1859-go roku ¹⁾.

Ubogi był, ale bogactwa zbierał dla innych, dla literatury, dla potomności; poprzestawał na małym i żył, nie dla siebie, ale dla ukochanej myśli służenia wiedzą swą i piórem, pracą i trudem, za który trumnę jego pokryto wieńcami laurów, a nazwisko wpisano na kartę prawdziwie zasłużonych.

Cześć jego pamięci!

Quis

DRUGIE POKOLENIE

POWIEŚĆ ORYGINALNIE NAPISANA

przez

M. GAWALEWICZA.

(Dalszy ciąg).

IX.

Likwidacye.

Weześniej, przed wiadomością o ucieczce młodego szefa, rozeszła się po fabryce nowina:

— Stary wrócił!...

Zastanawiano się nad znaczeniem tej niespodzianki, jaką dla wszystkich, od prostego robotnika do głównego buchhaltera, było nagłe zjawienie się Fatta w kantorze i krótka, stanowcza dyspozycja, jaką wydał sekretarzowi Karola:

— Proszę o księgę główną.

Krzysiovi polecił napisać natychmiast list do Grzysieckiego, aby się zechciał pofatygować,

choćby późnym wieczorem, do fabryki, sam zaś, milczący, zamyślony, ale zawsze z pozoru spokojny, zasiadł do wertowania ksiąg, które mu z kantoru na górę przyniesiono.

Chciał się jaknajprędzej poznać ze stanem interesów, zestawieć liczby ważniejsze i zasięgnąć informacji o wszystkim, wyrobić sobie choć przybliżone pojęcie o rozmiarach bankructwa swego syna.

Przez cały czas tych wywiadywań, obliczeń, zestawień, imię Karola nie przeszło przecie przez jego usta. Grzysieckiemu z góry zastrzegł, żeby go tylko objaśniał przedmiotowo w kwestyach, które chciał poznać, nie wdając się w żadne osobiste alluzye.

Widocznie wszelkie wspomnienia syna były dlań najprzykrzejsze, bo ich, oile możności, unikał.

O nieboszczyku byłby mówił ze łzami w oczach, o zbiegu i bankrucie chciał zapomnieć, jakgdyby nigdy nie istniał; było w tem przymuszonym milczeniu więcej bólu i potępienia, niż w najgłośniejszych skargach i wyrzutach zawiadzonego ojca.

Z kobietami w domu nie rozmawiał prawie wcale; wczesnym rankiem wyjeżdżał do fabryki, powracał późnym wieczorem. Śniadanie i obiad kazał sobie przysyłać do kantoru.

Nie tracił ani chwili w gromadzeniu materiałów, liczb, objaśnień; pilno mu było rozejrzeć się po kilku latach w sytuacji i zbadać do gruntu stan majątkowej ruiny. Grzebał się z jakąś gorączkową zaciekleścią wśród tych gruzów i tylko czoło marszczył coraz surowiej i coraz niżej zwieszał głowę na piersiach w chwilach zadumy nad rachunkami i zestawianym bilansem.

Chłonnęło się to całe tygodnie.

— Stary Fatt likwiduje interesa syna, — mówiono na mieście, w kołach przemysłowych, na giełdzie, w zebraniach kupców i finansistów.

— Jakże on to wszystko rozplącze?

— Rzeczywiście, to będzie nie lada zadanie!

— Ho, ho, stary ma jeszcze dobrą głowę; zobaczcie, że on gotów uregulować w końcu tak interessa, iż utrzyma się przy fabryce.

— Bo też-by zgroza była, aby się przewrócił całkowicie. Taka ucziwa firma, takie świetne przedsiębiorstwo...

— Bal.. ślicznie go synalek wykierował!..

Całe współzucie było po stronie ojca, zwłaszcza kiedy się dowiedziano, że stary Fatt postanowił do ostatniego grosza spłacić wierzycieli z uszczerbkiem własnym i całej rodziny, że się układa, wyprzedaje, poświęca wszystko na wyrównanie deficytów, że całe brzemie tego bankructwa bierze na swoje barki.

Codziennie niemal podawano sobie nowe jakieś szczegóły tej smutnej sprawy, którą zajmowały się szerokie koła nawet w sferach bezpośrednio nieinteresowanych.

— Wiecie, synową z dziećmi zabrał stary do siebie. Wczoraj rozpoczęli wyprzedawać nieruchomości młodego. Podobno są tam śliczne rzeczy w meblach, lustrach, zegarach, gobelinach...

— Mówią, że synowej i wnukom kazał wyjść prawie w tem tylko, co mieli na sobie, zresztą wszystko oddał pod młotek.

— Harda sztuka z tego starego Fatta, chodzi mu o honor firmy.

— No, tak, ale czy to znowu warto obdzierać się aż ze skóry dla takiego syna!.. możnaby się praktyczniej urządzić; — wtrącali mniej skrupulatni. — Ot weźcie starego Beilinga: ma przecież miliony, a gdy mu młody zbankrutował, zaproponował wierzycielom dziesiąty procent i zrobił na tem jeszcze dobry interes.

— Dajcież pokój: to przecież była prosta *plajta*. Co Fatt to nie Beiling, — reflektowali starsi.

— Plajta czy nie plajta, dość na tem, że obaj dobrze na niej wyszli i teraz nowy *geschaef* robią do spółki.

— *Schwindel*, powiedzcie lepiej.

— No, to *schwindel*, ale się utrzymują i kpią sobie z całego świata, a Beiling *junior* będzie jeździł w powozie, który kupił na licytacji po Karolu.

— Dopóki się i pod nim osie nie załamają.

¹⁾ Zarys biograficzny O. Kolberga podał *Bluszcz* w r. 1889 w Nr-ze 24.

— Być może, ale do tego czasu będzie jeździł i będą mu się ustępowali z drogi, będą mu się kłaniali, ściskali go za ręce, bywali u niego na rautach, balach, obiadkach i śniadaniach, nie pytając: za jakie pieniądze zjadają jego ostrygi i piją jego szampana. To już takie czasy!.. Kto ma pieniądze, ten ma i rozum, i szacunek, i poważanie, i pobłażliwość ludzką, która patrzy przez palce na bogatych łajdaków i oszustów. Dalibóg nie warto być uczciwym!..

Tego rodzaju rozmowy dość często rozwijały się z tematu o likwidacji firmy „Fatta i Spółki“, a tymczasem stary jej założyciel nie pytał: czy robi praktycznie albo niepraktycznie, postępował według dwóch jedynych doradców, których przez całe życie swoje słuchał: według sumienia i honoru.

Wymyślał coraz-to nowsze kombinacje, wyszukiwał coraz-to lepsze środki, nie w celu umniejszenia strat, które piętrzyły się przy bliższym obliczaniu, ale w celu ich pokrycia.

Grzysiecki, grzeczniejszy, niż zwykle, ale spokorniały jakoś i usłużny, jak nigdy, tylko głową kręcił i ustami pykał, gdy słuchał pomysłów i projektów Fatta przy obradach nad regulowaniem interesów.

— Pan dobrodziej uwziął się na własną kieszeń — odważył się zrobić mu raz uwagę.

— No, dlaczego?.. sensu niema, z przeproszeniem pańskim, panie mecenasie, — ofuknął go stary fabrykant — ja tylko w mojej kieszeni nie chcę mieć cudzych pieniędzy. *Verstanden?*... Trzeba ludziom oddać, co do ludzi należy.

— Nic słusniejszego, ale jeśli niema tak bardzo z czego oddawać?.. — próbował wtrącić przebiegły pan mecenas, jednak stalowe oczy Fatta, jak dwa gwoździe, zamknęły mu usta.

— Znajdzie się, — odpowiedział krótko i stanowczo.

Grzysiecki, któremu jednak trudno było pogodzić się z takim krańcowym pojęciem rzetelności, westchnął i szeptem prawie, jakby do siebie, zauważył:

— O, ja wiem, że się znajdzie, tylko potem nic nie zostanie.

Jednak i na to nie zbrakło twardej odpowiedzi:

— Bądź pan spokojny, panie mecenasie, — zostanie zawsze jeszcze dziesięć palców.

W tonie, jakim to mówił, brzmiała taka stanowczość i rezygnacja, że adwokat, spoglądając na te spracowane, stare, grube ręce, które z przyzwyczajenia w dwie pięści zaciśnięte leżały przed nim na papierach i księgach, pochylił głowę i przeszedł do specjalnych tematów w dalszej rozmowie.

Surowy wyraz z twarzy starego nie ustępował ani na chwilę; z jakiś kamiennym uporem spełniał swoje zadanie, nie dbając ani o wypoczynek, ani o zdrowie.

Tych kilka lat, które spędził „na emeryturze“, w bezczynności, w spokoju, odsunięty od fabryki, dodały mu trochę siły, a siły przydały mu się teraz.

Nagle wstrząśnienie puściło w ruch zardzewiałe kółka machiny, — silna wola była nieustającym ich motorem.

Czasami tylko przychodziły na niego chwile reakcji, osłabienia, jakgdyby organizm wypowiadał służbę despotyzmowi woli.

Kilka razy wieczorem, po dniu bardziej ożywionym i czynnym, Krzys zastawał ojca z głową spuszczoną nad biurkiem, w oczyma zamkniętymi, z twarzą znużoną i senną. Wtedy podchodził ku niemu na palcach, brał go z lekka za rękę i mówił:

— Ojcie, czas już wracać do domu, późno... dziesiąta minęła.

Ale ojciec, zbudzony z drzemki bezwiednej, udawał, że nie śpi, zapierał się znużenia i senności, przecierał powieki i jakby gniewny, że go na takim osłabieniu przyłapano, mówił:

— Możesz sobie pójść, jeżeli ci się spać zachciało, — ja jeszcze zostanę. Mam robotę.

Nie przyznawał się przed samym sobą, że pracuje wysiłkami i wierzył w niewyczerpaną swą energię.

Zdawało się, że ten normalny wyraz zatroskania i surowej powagi steżał na jego twarzy teraz, i że go nie już zmienić nie potrafi; jednak tak nie

było. Na chwilę twarz ta odtajała wzruszeniem i zadrgała jakby przelotnym błyskiem radości.

Stało się to pewnego popołudnia, kiedy do kantoru weszła delegacja złożona z trzech najstarszych robotników fabrycznych i bez długich wstępów, chrząkając tylko często i przyglądając włosy na głowie, oświadczyła w imieniu kolegów, że przychodzi z prośbą i z propozycją.

— Oto powiadają, — mówił niski, krępy, obrośnięty, jak niedźwiedź, kowal, któremu przypadła rola *speechera* w tem poselstwie — powiadają, że pono fabryka ma być zwinięta, czy coś takiego; więc z przeproszeniem pana dyrektora, myśmy tak uradzieli między sobą, aby gdyby coś do czegoś dojsz miało, to niby... na ten przykład... my chcemy robić za połowę lonu, żeby tylko robić a nie rozchodzić się. Bo to zawsze jest nas takich spora gromadka, cośmy tu od maleńkości pracowali i jużby się chciało zostać choć do śmierci na jednym miejscu. A że tam, z przeproszeniem pana dyrektora, coś jest nie *rychtyk*, czy coś takiego... zawsze to czasy ciężkie; no, to już niech tam będzie bieda dla nas wszystkich wspólna. Poprawi się, to i nas pan dyrektor przecie nie pokrzywdzi, jak nie pokrzywdził nikogo, a swój swego popierać powinien.

— Tak, — przywórtzyli mu dwaj towarzysze, przestępując z nogi na nogę — święta prawda!..

— Więc niech nas ta pan dyrektor nie rozpedza — z pocziwym grubym jowialnym uśmiechem dorzucił maszynista delegat, — Pan Bóg znów dopomoże i będzie dobrze.

— A tak, — z kolei odezwały się znowu zgodnie dwa pozostałe głosy.

Patrzali w starego wyczekując i znać było po nich, że odmowa sprawiłaby im przykrość.

Fatt podniósł się ze swego fotelu i przez chwilę nie mógł przyjść do słowa; wyciągnął tylko rękę do krego kowala, który, zmieszany trochę tą poufałością chlebobdawcy, zawahał się, czy mając podaną prawicę, jednak instynktownie otarł dłoń o spódnię i szybko obie ręce z uszanowaniem wielkiem podał do wzajemnego uścisku.

— Dziękuję wam, dziękuję — szepnął wreszcie wzruszony Fatt — Bóg wam zapłać za dobre chęci!.. Co będzie z fabryką, sam jeszcze nie wiem. W każdym razie, nie zapomnę o was i nie dam was pokrzywdzić. Bądźcie spokojni... Tyle lat było nam z sobą dobrze, może będzie i nadal tak samo...

Mówił to głosem cichym, miękkim, a drżące jego ręce, jakby dopowiadając reszty, spoczęły na żyłastych barkach dwóch innych robotników.

— Podziękujcie... podziękujcie całej fabryce — powtarzał przy pożegnaniu.

Była to pierwsza jaśniejsza chwila od czasu wielkiego gromu, który mu spadł na serce znowu. Czuł się wzmocnionym na siłach i pewniejszym w sobie.

Pomimo zapowiedzi w liście do żony, żadna wiadomość nie nadchodziła od Karola. Nie dawał znaku życia, nie pisał, nie odzywał się wcale.

Pani Wanda po głębokich wstrząśnieniach wpadła z kolei w stan apatii; przeniósłszy się do domu teściów, była jakby oszołomiona. Miała uczucie pogorzelca, któremu gwałtowny pożar zniszczył wszystko i zostawił tylko zgłiszczą.

Z licznych przyjaciół i znajomych nie widywała prawie nikogo, bo tylko kilka osób uważało za stosowne odwiedzić ją z wyrazem współczucia.

Sytuacja była zanadto drażliwą dla reszty, unikającej żony bankruta i zbiega.

Pierwszy baron znalazł się w fatalnej kolizji po odebraniu listu Karola z wiadomością o powodach, które go do ucieczki skłoniły.

Odrzucał dorozumiał się wszystkiego i przewidywał wszystkie konsekwencje tego rozpaczliwego kroku; był naprawdę przygnębiony przez chwilę, ale, nie kłękając przyjaciela, tylko myślą o swoim kłopotliwym położeniu.

Brat uciekł, ale zostawała siostra, zostawała Liza, narzeczona jego, narzeczona bez posagu, która pomimo gotowej wyprawy, nawet bardzo kosztownej i obfitej, była teraz panienką, jak tyśiące innych, prawie ubogą, może nawet całkiem biedną.

I z tą panną Fatt, córką zubożonego dorob-

kiewicza przedtem, a siostrą zbankrutowanego przemysłowca teraz, miał się żenić?..

Ta kolizja była najfatalniejszą dla Apcia.

— Jestem załapany — mówił sobie z oburzeniem. — Pierwszy chyba raz w życiu nie wiedział, jak się wyplatać z sytuacji.

Zdarzało mu się, że, nie mając grosza w kieszeni, przegrywał tysiące przy zielonym stoliku, ale to go nigdy humoru nie pozbawiało. Ryzykował coraz wyżej i odbijał się jeszcze z grubą wygraną.

W tym wypadku wszelako szczęścia nie można było „sforsonować“.

Przecież niepodobieństwem było żenić się!

Nad tą kwestyą też nie zastanawiał się wcale; to bowiem było jasne i konsekwentne.

Ładnie-by wyglądała ta pani baronowa na jego wyłącznym koszcie.

A zresztą, przecież to nietylko o nią jedną chodziło; to chodziło i o niego, który nie mógł popęlić takiego szalonego megalomansu.

— Co tu począć, co tu począć?! — łamał sobie głowę, szukając drogi wyjścia, tem trudniejszej do znalezienia, że się chciał z tej pułapki losu wydostać... z honorem.

Krzywił się tak niemiłosiernie, jakgdyby ugryzł przez łakomstwo soczysty pozornie owoc, który się okazał dopiero w zębach gruszką z mydła.

Zerwać wprost, brutalnie, bez wszelkiej delikatności, byłoby środkiem radykalnym i najłatwiejszym, ale to znaczyło przyznać się wobec Lizy, wobec całej jej rodziny, wszystkich bliżej wtajemniczonych w ten stosunek, do brudnej interesowności, do spekulowania tylko na posag bogatej jedynaczki.

Gdyby jeszcze nie był przybierał tak szlachetnego tonu wobec swej narzeczonej, nie mówił jej tyle o arystokracji dusz, o rycerstwie uczuć — jej, prostej mieszczańce, którą zdobywał tak wyszukaną bronią; gdyby zresztą ta młoda parweniuszka była sobie zwyczajną gąską, ale nie, — nie była tak naiwną, nie była tak pospolitą naturą pomimo swego pospolitego nazwiska i pochodzenia po dziadku handlującym mlekiem i serami.

— Tak, ale któż jej winien, że miała takiego brata, który zrobił kapitalne głupstwo, bankrutując?... bo ostatecznie można się nawet zachwiał, nawet zbankrutować, ale po co uciekać?... Czyż to koniecznie potrzeba brać rzeczy tak tragicznie?..

— Co za nieogłędna bestya! — wymyślał w duchu przyjacielowi — żeby też posagu własnej siostry nie zabezpieczyć!.. to doprawdy więcej niż nieuczciwe! Prosta kanalia!..

Posuwał się aż do trywialności w tym monologu nowoczesnego Hamleta, zapytując siebie:

— Być, albo nie być — przyzwitoł narzeczonym?..

Pierwszy dzień zeszedł mu na rozwiązywaniu tej trudnej kwestyi. Wiedział, że wypadało popieszyć do Fattów w takiej chwili, że to było poniekąd obowiązkiem człowieka, który przez połowę należał już do rodziny, ale coś go wstrzymywało.

— Mogę nie wiedzieć o niczem, — usprawiedliwiał się przed samym sobą; — zobaczymy, co będzie jutro.

Ale jutrzejszy dzień nie doprowadził go także do żadnego postanowienia. Pogłoski na mieście krążące zniechęciły go jeszcze bardziej do wizyty u rodziców narzeczonej.

Byłby dał wiele za to, gdyby się znalazł u antypodów.

Apcio czuł się prawdziwie rozdrażnionym tą swoją niezaradnością; nie wychodził prawie z domu, aby się z ludźmi nie spotykać, nawet wieczorami w klubie go nie widywano.

— To jest bardzo nieprzyzwoicie, co ja robię, — powtarzał sobie, ale się nie ruszał z miejsca i nie szedł do Fattów.

Nazywał to tylko nieprzyzwoitością.

Czwartego dnia służący hotelowy — (baron miał swoje kawalerskie mieszkanie w hotelu) — przyniósł mu list.

Na adresie pocznął pismo Lizy.

Miał ochotę spalić list przed odczytaniem. Cóż mogła pisać do niego narzeczona, jeśli nie o nie-szczęściu, jakie spotkało ich rodzinę, jeśli nie wzywając go do siebie na wałną naradę fami-

lijną, jeśli nie wyrzuty, że ją w takiej chwili zamiedbuje i opuszcza?

On to wszystko znał przecież na pamięć; jednak odważył się wziąć list do ręki i... po pierwszym dotknięciu twarzy mu się dziwnie rozpogodziła. Przez jego dystygowane usta przemknął uśmiech radości, zarumienił się nawet jak młodzienczek.

Pod palcami w kopercie uczył coś okrągłego, twardego, ciężkiego, co było bardzo do pierścionka podobnem

Rozerwał szybko kopertę i wyjął list, a z listu potoczył mu się rzeczowy pierścionek jego zaręczynowy na kolana.

Liza zwracała mu sama słowo i wolność.

Odetchnął.

„Po tem wszystkiem, co zaszło — pisała do niego — a co nie musi być Panu tajem, okoliczności zmieniły się zupełnie. Ruina majątkowa, jaka dotknęła mego brata, pochłonęła także cały mój posag.

„Nie potrzebuje przekonywać Pana o słuszności, która mi każe w dzisiejszych warunkach, wyrzec się naszego małżeństwa nazawsze. Los chciał nas widocznie wystawić na zbyt ciężką próbę, od której mam prawo uwolnić przynajmniej Pana i jak Pan widzisz, z tego prawa korzystam...”

Przechylił głowę na ramię i, przebiegając jeszcze raz pismo oczyma, z pewnym wyrazem zadziwienia i uznania, mruknął tonem profesora czytającego wypracowanie pensyonarki:

— Hm, hm!.. ta mała wcale dobrze pisze. Patrzajcie!..

(Dalszy ciąg nastąpi).

JÓZEF CHEŁMOŃSKI.

(Profil krytyczny).

...Zboczyć o kilka kroków z rozpalonego żarem słonecznym chodnika, i znaleźć się odrazu w wonej, świeżej i orzeźwiającej atmosferze łąk mazowieckich i ukraińskiego stepu, sosnowych lasów i jezior odbijających w sobie granatową barwę obłoków, to rozkosz nielada! Rozkoszy tej doświadczyłem świeżo, zaszedłszy jednego majowego, upalnego południa do salonu „Towarzystwa zachęty“, w którym kilka ścian zawieszono wyłącznie obrazami Chełmońskiego.

W słowach, jakimi maluję doznane wrażenie, niema żadnej przesady. Dopóki nie obudził się we mnie krytyk i dopóki chłonałem wszystkie te płótna oczyma i duszą zwykłego widza, wydawało mi się, że stoję, nie wobec obrazów, lecz wobec prawdziwej, upajającej swemi woniami, natury. Kolejno przemawiały do duszy mojej i do zmysłów: noc leśna, wieczór wiosenny, skwarne południe, mroźny świt i t. d. Ile poezji mieści w sobie każda z tych pór dnia i roku, tyle dochodziło jej do mnie, odbijając się od rozwieszonych obrazów, jak się promień słoneczny odbija od płyty zwierciadlanej. Artysta schodził na plan dalszy; był, nie twórcą, lecz tylko pośrednikiem, nie autorem, lecz tłumaczem — był, rzec można, aparatem jedynie, odbierającym i wysyłającym wyprawioną z kładną depezę.

Taką bezosobowość twórcy spotykamy w arcydziełach klasycznych; dziś należy ona do nadzwyczajności. Malarzowi łatwiej z pozoru ukryć się za przedstawione postacie, a jednak pokazać mi obraz, w którym Siemiradzki nie byłby Siemiradzki; Matejko — Matejką, Brandt — Brandtem!

Otóż tę właśnie, niedostępną dla innych, doskonałość potrafił zdobyć Chełmoński. Ma on swoje znamię, bardzo nawet wyraźne, ile razy, we właściwym tego słowa znaczeniu, tworzy, to jest: maluje z pamięci, z fantazyi, lub z cudzego na-

technienia; ale gdy przedstawia kawał istniejącego w naturze lasu, pola, skarbowanego wiatrem jeziorka i t. p. lub odtwarza pewną żyjącą dziewczuchę, pewnego żyjącego żebraka lub pewnego żyjącego konia, na każdym z takich płócien mógłby śmiało, zamiast własnego nazwiska, położyć podpis: *Natura fecit*.

Ta właściwość Chełmońskiego sprawia, że zajmuje on w sztuce polskiej stanowisko odosobnione. Pierwszy w naszym malarstwie wystąpił on jako wyobraziciel szczerości bezwzględnej i zaparcia się; nieszczęściem zaś jest prawdziwem, że drogą przezeń wskazaną poszło tak niewielu — nikt prawie... Blyskotliwość, efekciarstwo, kłamany szyk, fałszowanie prawdy i naginanie jej do pospolitych, mieszczańskich upodobań, znacznie więcej znalazły u nas wyznawców i uprawiających...

Pierwsze występy Chełmońskiego przyjęła krytyka warszawska niedowierzająco, z lekceważeniem, a nawet z wyraźnem tu i owdzie szyderstwem. Nawet ci, co dziś artystę swym „najukochańszym uczniem“ zowią, wyrażali się o nim w początkach dwuznacznie. Jest to aż nadto zwyczajne. Dość jest wystąpić z nową myślą lub z nową formą, aby obruszyć na siebie współczesnych. Ludzie z trudnością przebaczą temu, kto ich zmusza do pracy umysłowej, do przyswajania sobie nowych prawd, do zrywania z tem, w co dotąd silnie wierzyli.

Chełmoński, ze swemi, tętniącymi życiem i poezją natury, obrazami zjawił się w chwili, gdy zachwycano się pejzażami Breslauera, gdy Lesser odbierał hołdy jako malarz historyczny, gdy najwyższy wyraz swojskości i realizmu widziano w niedbale improwizowanych szkicach Kostrzewskiego. Od poprzedników swoich nie wziął nic zgoła; wszystko snuł z siebie, z duszy niesłychanie wrażliwej, z umysłu poważnego, ambitnego i pełnego niezależności. Tak, jak on, czują z pewnością i inni, ale szczerość (o której już wspomniałem), będąca najwydatniejszym znamięm jego talentu, sprawiła, że odbieranych od natury wrażeń nie fałszował rozmyślnie, że nie nie upiększał, nie poprawiał, nie idealizował, uznając za zasadniczą prawdę, że trudno być poetyczniejszym od tego, kto stworzył poezję, poetów i poetyczność.

Gerson nazywa Chełmońskiego swym uczniem. Jest to nazwa czysto formalna. Chełmoński nie wyszedł z niczyjej szkoły; jest zaś zbyt niezależny, zbyt rozległy, a zarazem zbyt prosty, aby sam mógł szkołę wytworzyć. Szkoła, streszczająca wszystkie swe przykazania w jednym: „malować to, co się widzi i tak, jak się czuje“ powinna skupiać pod swym sztandarem wszystkich, a to już-by jej charakter szkoły odebrało.

Dopóki się z biografią Chełmońskiego nie zapoznałem i dopóki nie dowiedział się, że to Mazur z Mazurów, miałem go za czystej krwi Ukraińca. W najpierwszych jego płótnach uderzała ta bujność przyrody ukraińskiej, która objawia się zarówno plennością czarnoziemiu, jak krewkocią molojów i zdrowiem młodych, zarówno ścisnącą serce melancholią stepu, jak namiętym szaleństwem szumek i kołomyjek, zarówno słowiczą melodją wierszy Zaleskiego i Szewczenki, jak ponurą grozą dramatów, którym luna pożarna za dekoracją służy.

Konie Chełmońskiego, o czarnych, na wiatr rozwianych grzywach, o krwawych nozdrzach, ogniem ziejących, o piersiach rozrosłych, o które zamieć stepowa rozbija się, jak o granit; konie te, pełne życia, krwi płomiennej i dzikiego zapachu, będące mieszaniną rasy tureckiej, arabskiej i polskiej, kupowane w Bałcie, Carogrodzie, na Krymie lub w Armenii, a hodowane w stadninach, po stepie bezbrzeżnym hasających, nazywano u nas „bestyami apokaliptycznymi.“ Dowcipnisie warszawscy (dowcipniś jest wytworem specyficznie warszawskim) płodzili na ten temat koncepty, które z kawiarni lub bawaryi przedostawały się do łamów dziennikarskich. A nie mogło być inaczej, bo czyż oczom, przywykłym do hebetów dorożkarskich, do wywłok omnibusowych, do

chłopskich mierzynów, do zagłodzonych angielów i szlacheckich, w dniu powszednie do brony zaprzęganych, cugowców, — mogły te rumaki, nadmiarem sił kipiące, nie wydać się potworami?

Dopiero czas, pozwalający przywyknąć do nieznanych wprzód wrażeń, a jednocześnie hołdy obcych, przybywające z dziennikami zagranicznymi, wyrobiły Chełmońskiemu uznanie wśród swoich. Stwierdzić jednak muszę, że uznanie to nigdy nie było zupełnem. Pochwały wygłaszano zawsze z zastrzeżeniami; wyróżniając zaś obrazy późniejsze, milczano lekceważąco o dawnych.

Zauważmy, że ta ostatnia powściągliwość sądu potępia jaknajbardziej nasz rodzimy krytycyzm. Chełmoński jest jednym z artystów, którzy odrazu wystąpili w pełnym rynsztunku, załysnęli pełnią talentu i, odbywszy w ukryciu okres dojrzewania, zjawił się światu zupełnie już dojrzali.

Stwierdza tę prawdę wystawa zbiorowa, na której pod rokiem 1875-tym znajdujemy obrazy: „Przed zajazdem w miasteczku“, „Babie lato“ i „Wieczór letni“. Wszystkie to arcydzieła. Jest w nich cały Chełmoński, ze wszystkimi właściwościami ducha i formy. A przytem gorączka młodości, ten szal krwi płomiennej i niezużytych nerwów, kładzie na tych obrazach piętno odrębne, w późniejszych pracach niespotykane, które przesłania je mgłą poetyczności i czyni — dla mnie przynajmniej — najpiękniejszymi.

Najbardziej typowym jest „Wieczór“. Nie znam obrazu, któryby udzielał na raz tyle różnorodnych wrażeń *zmysłowych*, co ta kompozycja, z pozoru dziwaczna i w treść skąpa. Pomiłując wrażenia optyczne, obraz przemawia: do słuchu — brzękiem latających w powietrzu chrabaszczów i naszczekiwaniami psów na księżyc; do powonienia — zapachem łąki za oknem i dymu tytoniowego z fajek; dotyk wreszcie drażniony tu jest pieszczotliwym muskaniem chłodnego, zalatującego przez otwarte okno wietrzyka.

Jakimi liniami i barwami wyraził artysta całą tę, nie-malarską stronę przedmiotu? — nie wiem. On sam — możeby po raz drugi do środków technicznych, wówczas użytych, nie umiał powrócić. W twórczości artystycznej uznać trzeba do pewnego stopnia istnienie działania bezświadomego. Analiza najcisłjsza pierwiastku tego w dziele sztuki nie odkryje, taksamo, jak w cie-le organicznem nie odnajdzie siły żywotnej.

(Dalszy ciąg nastąpi).

PRZEGLĄD TEATRALNY.

LXXXII.

Walka o byt (La lutte pour la vie), sztuka dramatyczna w 5 aktach (akt IV w dwóch odsłonach) *Alfonsa Daudeta*, tłumaczona z francuskiego przez *H. S.* — pierwsze przedstawienie w Teatrze Letnim d. 6 Czerwca.

Znany u nas lepiej od niejednego z powieściopisarzów oryginalnych autor *Fromont jeune et Riesler aîné*, napisał dwa lata temu powieść *L'immortel*, postanowił ją za przykładem wielu kolegów swoich z cechu przerobić na scenę. Gdy się do roboty zabrał, powieść sama zniknęła, a w jej miejsce znalazła się nowa zupełnie fabuła, będąca jakby dalszym ciągiem dziejów opowiedzianych w „Nieśmiertelnym“. Dramat z powieścią łączy cienka niteczka wspólnych dwóch głównych osób i wspólnej tezy rozumowej, którą Daudet wplótł był w swe opowiadanie dawniejsze, pomiędzy drwiny z Akademii Francuskiej a lekkie pioruny na materyalizm wiedzy, sprowadzający za sobą i materyalizm życia. Z tych piorunów powieściowych w intencjach autora pracującego nad dramatem powstała walka o byt, jako idea niszcząca społeczeństwo, podkopująca jego moralność, wiodąca gromadnie dusze ludzkie

w otechłań upadku—i przekonany, że tę ideę właśnie w dramacie swoim przeprowadził, Daudet napisał przez siebie „sztukę teatralną” nazwał od niej *La lutte pour la vie*. Ale przekonanie to było błędne; sztuka dodekowska przedstawia, nie walkę o byt, ale zwyczajną nikczemność, uosobioną w Pawle Astier, współbohaterze „Nieśmiertelnego”—i jego kilku towarzyszach i współpracownikach. Darwin ze swą teorią wszedł tu jak Piłat w *Credo*. Co innego, gdy u nas np. Narzyski kształtuje pozytywizm obyczajowy w charaktery, czyny i wypadki dramatyczne, a co innego, gdy Alfons Daudet ze zwykłego szubrawca, jakich pełno było na scenach całej Europy już na dwadzieścia lat przed nim, chce czynić ucznia doktryny naukowej, która raz zaszczerpiona w życie, wydawać już będzie robaczywe owoce. Narzyski rzeczywiście uplastyczył ową bezucuciową trzeźwość, w której egoizm zabija moralność; Daudet nadał tylko nową wspaniałą nazwę—rzeczy bardzo starej, pospolitej: karyerowiczowstwu nieprzebiegającemu w środkach.

Sztuka ma zatem tytuł niewłaściwy, ale utworów nie sędzi się z tytułów. Pomylił się Daudet w nazwie swego dramatu, nie pomylił się jednak w dramacie samym: poruszył w nim temat, który w wieku praktycznego materializmu, materialnej przeważnie cywilizacji i zmysłowego używania—będzie zawsze żywotnym, a oddany do pracowni duchowej rzeczywistego talentu i rzeczywistego poczucia moralności, wyjść z niej musiał w postaci pięknego, wzruszającego i rozumnego utworu. Nie odbiera mu tych zalet sztuczne doczepianie owej nieszczernej walki o byt,—niezręczne wkładanie w usta takim sekretarzom lub dependentom rezonowań o teorii Darwina przeniesionej do życia,—zapędzanie ich w głąbsze filozofii obyczajowej, wtedy, kiedy oni sami upędzają się tylko za pięciofrankówką do nieskończoności mnożoną. Sam Paweł Astier, ani studiami swemi, ani nastrojem i kierunkiem umysłowości, nie ma żadnego prawa uchodzić za wyznawcę teorii walki o byt. Nawet i wypadki dramatu nie dają, ani jemu, ani nikomu innemu, sposobności do przejawienia się w rzeczywistej walce o byt. Nikt tu nie walczy, nie pożera metodą zwierząt drapieżnych, nikt nieprzyjaciela swego nie skalpuje; nikt, spotkawszy się oko w oko na kładce, która już trzeszczeć zaczyna, dla ocalenia siebie, nie spycha spotkanego w głębokie nurty; nikt wreszcie nie daje się podciągnąć pod typ owego polipa po akwariach europejskich, który, wciągawszy w siebie żywego skorpiaka, po paru godzinach zostawia z niego tylko skorupę — za co odbiera żywe objawy radości od prowadzonej na takie widowiska dziatwy. Walki o byt niema w sztuce Daudeta, jest wogóle mało nawet walki psychologicznej, będącej organiczną właściwością wszelkiego dramatu; ale jest żywo upostaciowany rozbiór beczelny, tchórzliwy a słodki i słodczy podbijający—jest cierpienie jego ofiar, przemawiające do duszy,—jest wreszcie i rozwiązanie, w formie swej niezręczne, ale w treści potrzebne, bo dające zadowolenie moralnemu uczuciu widza. Daudet nie jest takim olbrzymem, aby jego pesymizm mógł nam postawić przed oczyma obraz czysto przedmiotowy i powiedzieć: „Patrzcie: oto wasz wiek, wasza cywilizacja; szukajcie sobie sami równowagi duchowej, naruszanej przez zwycięstwo występku.” Gdyby przy danej sile swojej chciał być Pawła Astier pozostawić bez kary, stworzyłby tylko rzecz karłowatą, ułomną.

Niechby zwyciężajny tylko pisarz powieści bez rzetelnego talentu, — tego kłopotliwego dodatku do pióra—wziął się do napisania dramatu i napisał go tak *niedramatycznie*, jak Daudet, nie moglibyśmy go słuchać; ale talent ma w sobie czar, który w złej nawet robocie zawsze się na wierzch wybije i opromieni, zarówno pomysł, jak wykonanie mniej szczęśliwe. Ten czar tkwi głównie w stylu, ale nie w nim jednym tylko. Jeżeli się ma własny swój świat duchowy i w tym świecie żyje, świat zewnętrznej rzeczywistości weń przenosi i w nim przetwarza: wtedy będzie się miało i styl, i czarującą jego siłę, i piętno na dziełach nawet słabszych z niestartą występującą mocą. Styl jest tylko formą indywidualnej umysłowości: trzeba mieć pierwszej umysł indywidualny, zanim

się będzie miało styl; trzeba pierwszej utworzyć, zanim się napisze, mieć swoje dzieło w sobie, zanim się je na papier przeniesie. Takim właśnie jest Daudet, takim już zabłysnął w arcydziele powieściopisarstwa nowożytnego we Francji we *Fromoncie*. Dzięki indywidualności swojej, bujnej, jasnej, szczerzej — a szczerze jest z samego prawa twórczości piastunką talentów — ma Daudet prawo do pobbłażania widza, czującego nadmiar powieściowego malowania w dramacie, który z rodzaju swego wymaga raczej rzeźbienia. Można wybaczyć Daudetowi wątłość dramatyzmu, w istocie swojej polegającego, nie na rozległości, ale na głębokości charakterów i ich ścieraniu się ze sobą; można zapomnieć o czysto-powieściowych momentach, jak cały prawie akt I, oprowadzanie gości po zamku w II, gotownia w IV, wreszcie melodramatyczne zakończenie — ojca mszczącego się za śmierć córki, uwiedzionej przez niegodziwca. I te nie dramatyczne sceny zajmują, bądź wdziękiem i jednością dialogu, bądź silnem a pięknem upostaciowaniem moralnego uczucia, odpierającego potworną rzeczywistość. Ta łódź bez Boga i bez żandarma — sama przez się wytwarza doskonały obraz cynizmu, którego źródło przecież tkwi, nie w teorii walki o byt, ale w odwiecznym zmysłowym egoizmie natury ludzkiej, tem straszniejszym w cywilizacji, im sama ta cywilizacja jest wyższą. Dramat jest zajmujący i warto go poznać. W pośród swoich szczęścia nie znalazł; pragnąłbym, aby u nas trwalszego doznał powodzenia.

W dramacie dodekowskim występują jako charaktery główne dwie postacie z *L'immortel*: księżna Rozen-Padovani, kobieta już nie pierwszej młodości ale jeszcze pragnąca szczęścia, i wychowanek doktryny przewrotnej Paweł Astier, inżynier z powołania społecznego, ale ze skłonności serca polujący tylko na ową pięciofrankówkę mnożoną do nieskończoności. Chciała go mieć: więc go jej los dał. W akcie I są już małżonkami po dwóch przeszło latach pożycia — ale małżonkami *de facto* rozdzielonymi. On traci jej majątek, oszukuje ją — a upatrzwszy sobie jakąś wielomilionową kuzynkę „bohatera Karyntyi” Esterę, chciałby się już tylko z małżeńskiego jarzma wy dostać; ona, przykuta do niego własnym swem przywiązaniem, widzi zło, czuje krzywdę swojej pogardza, a jednak wciąż kocha — i na rozwód proponowany jej przez niegodziwca przystać nie chce; ujęta wszakże jego słodyczą, bronią używaną z zasady przeciwko kobietom, godzi się z nim i wraca do Paryża. Tutaj poznaje nareszcie całą otechłań niegodziwości: Astier chce ją otruć. To ją dopiero ze spóźnionych amarów wyleczyło; usunęła się na Korsykę. Astier nie doczekał swej Estery: sprzątnął go pierwszej wystrzał z ręki nieszczęśliwego ojca, Vaillanta.

Księżna de Padovani udała się Daudetowi i, chociaż widzimy ją tylko w dwóch aktach, czujemy obecność jej w całym dramacie. Jest to postać czysta, z wielką uczuciowością oddana, nie tuzinkowa, oryginalnie ukształtowana, silnie skupiona w sobie, ale dobra dla ludzi, a wzruszająca siłą cierpiącej swej świadomości; umie ona patrzeć, ale tym rozumem kobiecym, który nie wystarcza do wyzolenia się zpod tyranii nieszczęśliwego uczucia: postać w zarys bogata, — rola wdzięczna dla aktorki. Odegrała ją u nas panna Noiret i nad wszelkie spodziewanie odegrała dobrze, głównie dlatego dobrze, że spokojnie, że utrafiła w ton, który, przy artystycznym jej nastroju wybuchowym, był dla niej najtrudniejszym. Całe oddanie roli odznaczało się szlachetnością, która i głos przeniknęła, podnosząc go jakby nad zwykłą skalę barytonowej chropowatości — czyniąc go równiejszym, miększym, słodszy. Szczególniej akt II, zarówno przy indagacji starego Vaillanta, jak i w rozmowie z mężem, zakończonej nowym tryumfem niegodziwca, — do szczerzego poklasku ma prawo. W akcie IV obraz drugi wyborem było przyćśnienie, jakby wetchnięcie w siebie, głosu po odkryciu występku zamiaru. Rola księżny Padovani ukazuje nam już p. Noiret, nie tylko jako talent sceniczny, ale jako artystkę w estetycznym tego słowa znaczeniu.

P. Tatarkiewicz był Astierem wyborem przez dwa pierwsze akty i początek IV-go. Rozprawie wkraczającej w zakres filozofii życia — brakło dostatecznej charakterystyki pojęciowej, a wscenie z żoną w akcie IV nie czuć było całej obmierzłości egoizmu zbratanego z występkiem. P. Rapacki nie był dość jednolitym Vaillantem. Mała rola ale dużo artyzmu w Caussadzie p. Ładnowskiego; samo już ucharakteryzowanie się, może skopiowane, było doskonałem. Pani Ostrowska jako Marszałkowa, wdowa mająca z drugim swym mężem oplakiwać śmierć pierwszego, i p. Prażmowski jako gwardzista papieżki Adriani, pocieszany przez ongi nieszczęśliwą w małżeństwie morfinkistkę panią margrabinę de Rocanère (p. Leszczyńska) — zanadto wyciągali strunę komizmu. W dramatach szekspirowskich jaskrawość nie szkodzi ogólnej powadze, ale w innych koloryt powinien być jaknajłagodniejszym, aby nie zacierał tonów zasadniczych. Estera Seleni może mieć żal do panny Barszczewskiej, a Lidya Vaillant do panny Trapszówny, że obie tak mdło, fałszywie, niedobrze wyszły w ich grze.

Stanisław Krzemiński.

LIST Z WŁOCH.

Dnia 31 Maja.

Tyle mnie tu otacza ruchu i wesołości ludzkiej, w powietrzu unosi się taka woń kwiatów i poezji, że chce się gwałtem chwycić za pióro i nie zważając na termina, wyznaczonej mi w piśmie waszem gościnności, pisać co oczy ogładają, choć nie wiem zali wszystko jest do opisania. Już to tylko na klasycznej ziemi Włoch ludzie tak się weselić, tak się bawić umieją, jak się to dzieje tutaj o tegorocznej wiosnie, która przybyła niezmiernie wcześnie, ciepła i pogodna. Jak rzadko, cała w blaskach i kwiatach. Po uroczystościach Danta i Beatryczy najwspanialszą tu rzeczą było utworzenie dla komitetu zabaw majowych książęcej willi Borghese. Od wstrząsającej pamięci dni 1848 roku willa stała zamknięta i pusta, zamieszkiwał ją jedynie burgrabia i stróż, mający czego strzedz, bo cała ta willa w ogóle to muzeum takie, jakie tylko we Włoszech znaleźć można. Sala Eneasza, sala Sylena, sala Feba i Dafny, wszystko to takie przybytki sztuki, że człowiekowi, zwłaszcza z północy, zdaje się wśród tych marmurów i malowideł, że zabłądził i znajduje się w jakimś zaczarowanym świecie. A dodać do tego trzeba oświetlenie. Wpuśczonego do tego przybytku przeszłości nowoczesność — dla tej uroczystości zaprowadzono w willi oświetlenie elektryczne i silne białe światło, jakie daje, wytworzyło z tych sal ogromnych, z tego lasu posągów coś, jak widzenie seune Pól Elizejskich.

Umiano też dekorować to artystycznie. Wśród arcydzieł willi Borghese pierwsze miejsce trzyma dzieło Canovy, *Venus Victrix*, spoczywająca, z jabłkiem Parysa w rękę, a portretowana to jest pani niegdyś tych miejsc: siostra Napoleona Pierwszego, sławna z piękności Paulina Bonaparte, zaślubiona księciu Borghese. Rzeźbie dano oświetlenie z efektem czarownym. Marmurowe łożo, na którym Venus spoczywa, zasłano różami, a ponad tem umieszczono lampę elektryczną w osklepieniu różowem i otrzymano efekt niewypowiedziany; ciepło życia wstąpiło w kamień, marmur stał się ciałem żywym, idealnem ciałem bogini, i nie takiego nie oglądały oczy na konkursie owym, gdzie pulchną śpiewaczkę operetkową ustrojono w perły i brylanty. Tu, wśród piękności marmurowych przeciagały piękności żywe innego gatunku: zastęp Rzymianek ze sfer nie tylko arystokracji rodowej, ale wszelakiej, w strojach, które umiano uczynić odpowiednią do tych miejsc draperyą ich piękności. Brakowało tu przecież królowej Małgorzaty, ale rodzina królewska dla za-

łoby po księciu Aosty nie bywa na żadnych zebraniach tego rodzaju, choć sądzono, że czynionym tu będzie wyjątek, bo rzecz dawała się podciągnąć więcej pod uroczystości majowe, niż zaliczyć do rzędu zabaw zwykłych.

Spodziewano się tu po maskaradzie artystów rzeczy wielce malowniczej i estetycznie pięknej, ale spotkano się z zawodem. Wskrzeszona na ten cel z dawnych karnawałów rzymskich wycieczka artystów pendzla i dłuta do miasteczka Cervary wśród Kampanii i następnie ich powrót do Rzymu, i przeciągnięcie przez miasto z pochodniami nadawały się do tego, ale duch poezji nie chciał tu tchnąć i zrobiła się z tego humoreska, nawet mało przyjemna, bo Bachus zanałdo został uczczony przez synów Apollina. Wyprawiono na polach Cervary komiczny turniej Don Kichota z rycerzem *degli specchi* (zwierciadła) potem ucztowano wesoło w malowniczych grotach pobliskich — za wesołe, dodać trzeba, bo powrót do Rzymu — wjazd tryumfalny na osłach i ogromnych, jak wieże wysokich, wozach — wszystko z humorystycznymi godłami i przy podniesionych humorach uczestników, wydało efekt bardzo niesmaczny. Korowód ten przeciągnął przez *Via Nazionale* i *Corso* wśród ogromnego natłoku ludności, która wyległa tłumnie na ulice, aby to oglądać. Okna wszystkie były też pełne głów ludzkich, ale tylko najprostsza już gawiedź miała z tego uciechę. Sfery wykształcone uczuły niezadowolenie, wypowiedziane nazajutrz przez dzienniki. Przypomniano tu, że — sztuka obowiązuje.

Wspomniałem wam w przeszłym liście o popisie narodowego strzelania do celu: *Tiro a segno nazionale*, odbywającym się na równinie zwanej polami Farneziny. Inauguracja była uroczystością wspaniałego efektu.

Strzelcy ze wszystkich prowincji włoskich od Alp do Adryatyku, deputacje zagranicznych towarzystw strzeleckich, 300 towarzystw włoskich, 15 orkiestr i 7.000 strzelców tworzyło razem orszak malowniczy i sympatyczny. Odbywało się to w Niedzielę d. 11 Maja, zgromadzono się na placu *Santi Apostoli* i przez *Corso*, przez bramę *del Popolo* pociągnięto na miejsce uroczystości, a trzeba dodać, że ubiory były wszystkie malownicze: kapelusze z piórami, na ramionach strzelby własne, a górą chorągwie, którym przodował sztandar Towarzystwa, bogato, wytwornie szyty ręką kobiet włoskich, a tu trzymało wartę honorową ośmiu podchorążych: czterech Rzymian, czterech Florentczyków. Za tem stu officerów z armii włoskiej, w mundurach pułków swoich, i muzyka, którą tworzyła miejska orkiestra Rzymu.

Ze serca włoskie mogły radeśniej i dumnie bić w sercach — tego dodawać już nie potrzeba. Po dwugodzinnym pochodzie znaleziono się o godzinie 10-tej na polach Farneziny, gdzie zostało zbudowaniem z drzewa jak miasteczko całe: galerie do strzelania, sale dla komitetów, traktynie, kawiarnie, cukiernie, a środkiem pola wspaniała pawilon z kolumnami, do którego z czterech stron wiodły szerokie, wspaniałe wschody, a wewnątrz ozdobnie wybite, przybrane było w maj zieleni, w wieńce i kwiaty. Tu zebrały się sfery dworskie i urzędowe, dostojnicy państwa, posłowie, wreszcie dwa komitety Towarzystwa męzki i kobiece, którego prezydentką jest hr. Amelia Visone, żona ministra królewskiego domu. Oczekiwano w uroczystym porządku na króla, który przybył też wkrótce wraz z królową; król w generalskim mundurze 1-o pułku strzelców, królowa w zielonych jedwabkach i białej zarzutce ze złotym haftem; przywitana przez hr. Visone, otrzymała od niej piękny bukiet róż białych.

Sto tysięcy widzów patrzyło na popisy, które rozpoczął król. Prezes uroczystości, generał Pelloux prosił go o to i podał mu karabin; król dał w kolej pięć strzałów — do pięciu celów, coraz to trudniejszych do trafienia, lecz Humbert I jest doskonałym strzelcem i trafił pięć razy, i wtedy zabrzmiały szalone okrzyki: *Niech żyje!* a generał Pelloux podał królowi medal złoty, na który zasłużył według ułożonego regulaminu i Włochy mogą sobie powiedzieć, że król ich jest najdoskonalszym strzelcem w kraju.

Były tu następnie wyścigi gołębi, było niemiłe dla mnie, bo nieludzkie, niemilosiierne strzelanie do nich — istot łagodnych, wdzięcznych, nikomu nieszkodliwych, ale przybycie strzelców francuzkich nie daje się pominąć milczeniem. Przybyli oni do Rzymu w sam dzień uroczystości rano, witani na dworcu kolei przez lud rzymski, licznie zebrany, gorącymi okrzykami: *Viva la Francia!*. Generał Pelloux, jako prezes włoskich towarzystw strzeleckich, znajdował się tam również, czekał na perronie i powiódł gości do hotelu *de Rome*, gdzie były przygotowane dla nich pokoje i — śniadanie. Zaraz potem ruszyli w całym komplecie na Pole Farneziny, a i teraz towarzyszył im komitet uroczystości i muzyka miejska, grająca na przemian Hymn Sabaudzki, który stał się hymnem narodowym, ponieważ wiodł niegdyś Włochy na pole walk i zwycięstw, oraz hymn francuzki: Marsylianę. Lud i w tym pochodzie przyjmował ich gorąco, aż namiętnie, i Crispi potrzebował chyba zatykać sobie dobrze uszy bawełną, aby nie słyszeć tego głosu uczuć narodu. Rzymianie mówili mi, że od 1859 r., to jest od czasu walk pod Magenta i Solferino, lud rzymski nie rozgrzał się nigdy tak gorąco.

Na placu wystawy generał Pelloux witał ponownie przybyszów, dla których był zbudowany osobny pawilon. Przewodniczący Francuzom, Ludwik Merillon, odpowiedział równie gorąco, równie powołując się na wspomnienia 1859 r. i oddał komitetowi medale złote i srebrne, które francuzkie stowarzyszenia strzeleckie przesyłały stowarzyszeniu włoskiemu.

Wyścigi na *Tor di Quinto* odbyły się też nie tylko bardzo wystawnie, ale i bardzo rycersko, bo tylko ścigali się panowie sami i, zwłaszcza officerowie okazali się znakomitymi jeźdźcami.

Po wyścigach wieczorem miał nastąpić wielki pochód wszystkich kompanij strzeleckich z pochodniami, ale wmięszała się w to i rzecz uniemożliwiła owa niefortunna majówka artystów, powrót z turnieju Don Kichota. Tak mi leży na sercu ten niesmaczny koncept, że wracam do niego, bo pomyślcie, co to za rzecz przykra: tego dnia kiedy lud włoski występuje rycersko, te jego sfery, które powinny być strażnikami iskry zapалу, urządzają — sztydereze wyśmiewanie się z rycerskości... Summituję się wam raz jeszcze, że nie jestem surowym Likurgiem i gdyby się byli popili na polach farnezińskich i wracając z nich, wołali: „Viva Italia!...“ na całe gardło, byłbym im powiedział tylko: — Idźcie spać, chłopaki... i pogłaskał jeszcze po ramieniu.

Aby zatrzeć niemiłe wrażenie tej niskiej prozy, cofnę się poza Rzym. W Weronie odbyła się d. 15 szlachetnie piękna uroczystość — wyraz wdzięcznej pamięci Włoch o dobrych synach swoich: odsłonięcie pomnika Benedetta Cairoli. Prefekt miejscowy, otoczony przedstawicielami władz miejskich i prowincyj, przemawiał w imieniu rządu. Załoga miejska tworzyła szpaler, a orszak starych weteranów, towarzyszy tego, którego posąg stawał dla uwiecznienia tak jego pamięci, jak chwili, w której działało meztwo jego i cnota obywatelska — przodował, a trzeba było widzieć miłosne uszanowanie ludu dla tych już starców, i można powiedzieć panom artystom włoskim, że zostawiając ich na stronie, *Italia fara da se...* Wieczorem odbyła się uroczystość wśród staro-rzymskiej areny: wielka zabawa ludowa, koncert i bankiet. Wdowie po Cairolim przesłano gorący telegram.

Do wiadomości z innego zakresu spraw należy rzecz zapewne was interessująca, że mimo Crispi'ego i radykałów, Senat odrzucił uchwaloną przez Izbę ustawę, odnoszącą się do *Opere pie*, czyli *fundacyj pobożnych* i marnotrawstwa rządów dzisiejszych wymienionego gospodarza Włoch nie pokryje się groszem, składanym przez wieki na rzecz publiczną z inną myślą i kwoli innych uczuć — że nie stanie się tu gwałt: niesprawiedliwe zagrabienie prawem mocniejszego depozytów przeszłości.

Ale myślę się, pisząc o tych, którzy wyciągali tu ręce, że mają za sobą prawo mocniejszego. Skoro pożądlivość ich nie osiągnęła skutku mimo naczelnictwa Crispi'ego, dowód to, że większość —

więc siła, jest po innej stronie. Poczciwa królowa Małgorzata cieszyć się musi serdecznie, a kto wie, zali tu niema coś jej zasługi? Wzięła sprawę do serca, a rzeczy takie są zaraźliwe — uczucie, gdy gorące i prawdziwe, ma moc rozszerzania się: oddziaływa na inne serca i nie daje im pogrzyźć się w karygodnej apatyj.

Prąd burzący przeszłość przez chciwą chęć użytkowania z jej puszczyny, rozpościera tu niemiennie panowanie swoje. Pisałem wam w listach poprzednich, jak tu w Rzymie mirmidony gospodarują wśród jego starych pamiątek, jak oskard wandalski uderza w pomniki przeszłości i wśród gruzów, powstałych z tego rozboju, wznosi się tandeta domów, których niema komu zaludnić. Otóż ta rzecz smutna powtarza się i gdzieindziej. Królowa Adryatyku — Wenecja dawna, znika — kanały jej i gondole będą wkrótce żyć tylko w podaniach i poezji. Malownicze pałace i szeregi kamienie — puszczona po starym patrycyacie weneckim, ustępuje miejsca nowoczesnym ulicom, mosty padają pod razami siekier, gdy oskard bezbożno rozbija mury starych gmachów. Niedawno zburzono na Campo San Margherita pałacyk z charakterystyczną *loggia* i zastąpiono go ogromnem, brzydkim domiskiem, otynkowanym na żółto, co pod włoskiem niebem, przy włoskiem słońcu jest oślepiającą szkaradą. Ow sławny *Ponte del Paradiso*, tylokrotnie malowany, fotografowany, przedmiot zachwyty dla oczu artysty — najcharakterystyczniejszy punkt Wenecji, już nie istnieje. Zastąpił go most wyasfaltowany bez żadnego stylu i wdzięku, machyna ciężka i aż trudno pojąć, jak ludzie, których wzrok poił się od dzieciństwa obrazami piękności stylowych, mogą się nieoburzać, — mogą się godzić z temi brzydotami? Dzieje się to samo i z pałacami wzdłuż *Canal Grande*: tynkują, przybudowują gdzie się da. Zagłada spotkała już łuki *Tre Ponti* przy *S. Niccolo da Tolentino*, i powoli stanie się tak ze wszystkim. Teraźniejszość, chciwa i kupcząca spadkiem przeszłości, wszystko tak pochłonie. Nikt nie broni wązkich, brudnych uliczek bez słońca i powietrza, ale burzy tak dziko dla przysporzenia grosza kaletom, i tak pękatym — to grzech przeciwko przykazaniu: „Będziesz czcił ojca i matkę twoją...“

Włochy zaczynają być przeciw przygniatane ciężarem Syzyfowego kamienia. Na posiedzeniu parlamentu z dnia 12 Maja rząd Crispi'ego złożył Izbie poselskiej budżet wykazujący 35 milionów lirów deficytu. Wprawdzie dołączono tu redukcje budżetowe na 26 mil. lirów, ale mimo to podatki muszą być powiększone o 9 mil. lirów a naród już i tak upada pod ich ciężarem. Bieda jest taka, że rząd otrzymał 40 tysięcy próśb o grunta w Afryce pod kolonizacyą; inżynier Brichetti wypracował projekt zakładania wzorowych gospodarstw kolonizacyjnych i wzywa kapitalistów do popierania tego przedsięwzięcia, gdyż kwestya agrarna łączy się też bardzo kłopotliwie z kwestyą robotniczą. Papież polecił kardynałowi Rampolla wydanie okólnika do biskupów, aby zachęcali do tworzenia trybunałów, złożonych z fabrykantów i robotników dla załatwiania spraw między pracodawcami a pracującymi.

Leon XIII, który nigdy nie mieszał się do żadnych spraw łączących się z wydatkiem pieniężnym, raz pierwszy podniósł głos w tym przedmiocie, a to w sprawie pomnika Dziewicy Orleańskiej. Kardynał francuzki Pagès, nie tylko otrzymał tu ustne błogosławieństwo, ale wydane zostało *breve*, w którym Ojciec Święty pisze: „Najukochańszy nasz syn, biskup w Verdun, przedłożył nam plan zbudowania w Vaucouleurs pomnika narodowego na cześć Joanny d'Arc. Błogosławimy z całego serca to szlachetne przedsięwzięcie i polecamy je ofiarności wszystkich katolików francuzkich“.

Papież zajmuje się gorliwie wzniesieniem w Watykanie astronomicznego i meteorologicznego obserwatorium. Do oddziału astronomicznego przyłączoną będzie sala, w której Grzegorz XIII pracował z nadwornym swym astronomem nad uregulowaniem kalendarza. Są tam jeszcze pamiątki po nim — globus i instrumenta, które Grzegorz XIII posługiwał się przy pracy.

W drugiej połowie Czerwca odbędzie się w Watykanie konsystorz, na którym ksiądz

biskup Dunajewski otrzyma purpurę kardynalską. H.

Kronika działalności kobiecej.

— Według dzienników petersburskich kobiety mogą zajmować tam pewne posady w izbach obrachunkowych.

— Normalna ustawa dla szkół gospodarstwa mlecznego w Rosyi stanowi, że szkoły te, zostające pod zarządem ministerium dóbr państwa, dzielić się mają na męskie i kobiece, w żadnym razie nie mogą być mieszane.

— Członkowie Moskiewskiego i Petersburskiego Towarzystwa wzajemnej pomocy nauczycieli i pedagogów wnoszą od pewnego czasu składki na utworzenie kapitału wsparcia dla wdów i sierot po nauczycielach i pedagogach. Z początkiem bieżącego roku kapitał stowarzyszenia, od którego procenta służyć będą na cel wymieniony, wynosił 7.310 rs.

— Warszawskie Towarzystwo opieki nad biednymi matkami i ich dziećmi wykazało w dorocznym sprawozdaniu, iż w ciągu ubiegłego roku przyjęło do zakładu *Towarzystwa* 266 matek, z których 249 opuściło go wkrótce. Dzieci urodziło się w zakładzie 242, a z tych umarło 5, oddano na wieś dla wykarmienia 58, — matkom, z przyznaną zapomogą 13, bez zapomogi 166. Z poprzedzającego roku miało *Towarzystwo* na opiece swojej 176 dzieci, umieszczonych na wsi, z których oddano matkom 67, umarło 32. Obok tego *Towarzystwo* opiekowało się dziećmi zostającymi przy matkach i w tej kategorii przybyło w roku sprawozdawczym 23 dzieci. Roczne utrzymanie jednego dziecka wynosiło przeciętnie 32 rs. Dochody *Towarzystwa* wynosiły, łącznie z remanentem, 24.119 rs., rozchodu było 12.485 rs. Fundusz żelazny *Towarzystwa* jest 14.500. Preliminarz budżetowy każe przypuszczać na rok bieżący 14.000 rozchodu. Za pośrednictwem adwokata Wrotnowskiego otrzymało *Towarzystwo* dar bezimienny 10.00 rs. z warunkiem użytkowania go na budowę własnego domu, przybierając na ten cel kapitał zakładowy. Na wniosek D-ra Fritschego postanowiono nabyć dom własny w takim tylko razie, jeżeli *towarzystwo* nie znajdzie korzystniejszej lokaty dla sum posiadanych.

— D. 3 Czerwca odbył się akt otwarcia VII szwalni dla ubogich dziewcząt przy ulicy Sliskiej. Uczęszczać tam będzie 140 dziewcząt, by uczyć się szycia, krawiectwa i tkactwa domowego. Główną opiekunką jest p. Paulina Bauman.

— Zarząd szwalni III (Aleja Jerozolimska Nr 74), czyni starania, aby mógł umieścić, jak corocznie, kilkadziesiąt dziewczyn na wsi.

— Przełożona czteroklassowej szkoły pańien w Skierniewicach, p. Wanda Niewęłowska, urządza w pensjonacie swoim, opróżnionym z uczennic przez czas wakacyjny, letnią kolonią dla pańienek na powietrzu tak świeżem, jak na wsi. Dziewczynki potrzebujące kuracji mogą ją tam odbywać pod dozorem miejscowych lekarzy, których jest w Skierniewicach kilku. Mieścienna opłata za całkowite utrzymanie i opiekę jest 20 rs.

— Z zapisu ś. p. Tekli Swiergockiej zostanie rozdzieloną w bieżącym roku między sześć wdów

po zegarmistrzach summa 428 rs. Podania przyjmują magistrat po dzień 12 Lipca.

— Szkołę zegarmistrzostwa dla kobiet p. Helena Babczyńska otwiera z początkiem przyszłego miesiąca.

— Malarnia p. Izabelli Miniewskiej przy ulicy Królewskiej ogłasza przy dorocznym sprawozdaniu z czynności swoich, że odbywały się tam bez przerwy zbiorowe lekcje: 1) Rysunku, oraz kompozycji, rysunków stylowych i fantazyjnych. 2) Malowania *en relief* do wypalania na porcelanie fajansie, terrakocie; malowania na szkłe emaliami do wypalania. 3) Malowania natury martwej olejno, gwaszami, farbami metalicznymi odpowiednio do różnych materiałów; kolorowanie fotografii olejno i akwarellą. 4) Modelowania w glinie i wosku drobnych przedmiotów z ozdobami kwiatów i figurek; odlewania tychże z gipsu. 5) Wypalania na drzewie, skórze, naśladowania inkrustacji. — Nauka każdego z tych działów powierzona jest artystom specjalistom.

Zakład posiada dwa piece do wypalania porcelany, szkła i terrakoty. Jeden jest duży, drugi mały, mogący funkcjonować codziennie, i jest to wielką dla uczennic dogodnością, bo rozmaite przedmioty sztuki stosowanej do przemysłu, które wyrobią, mogą zaraz na miejscu przebyć proces wypalania. Kursa lekcji zbiorowych rozpoczyna się zaraz po feryach, d. 1 Września. Zapisywać się można każdodziennie w zakładzie przy ulicy Królewskiej Nr 29 na dole. Przewodniczącą malarni, którą objęła po szkole hr. Maryi Lubieńskiej, p. Izabella Miniewska, przedstawia wszelkie warunki tych przymiotów, które są pożądane w osobie zajmującej podobne stanowisko.

— Znaczną ilość kobiecych kapeluszy słomkowych wyrobiły na zamówienia właściciela sklepu w Warszawie wieśniaczki z okolic Grójca. Robota ta, do której pracodawca dostarczył materiały i wzorów, została wykonaną doskonale i jest to fakt bardzo pomyślny wróżby, bo przemysł ten, rozpowszechniony u nas, zatałmowałby z jednej strony wypuszczenie za granicę grosza, którego nie mamy zaudat, z drugiej dałby zarobek potrzebującym tego ręką. Niedawno postawiono w Saxonii pomnik Barbarze Utmann, która zaszczerpiła niegdyś przemysł koronczarski wśród ubogiej ludności Gór Kruszcowych. Były to Wieki Srednie i rzecz łączyła się z historią romantyczną, lecz rezultaty są jednakowe: brakuje obecnie w sposób bolesny pracy potrzebującym jej kobietom i niech od tych wieśniaczek zpod Grójca nauczą się nowego przemysłu robotnicę inne ze sfer niegdyś zamożnych, których legiony przybywają do Warszawy, poszukując pracy, a w znacznej liczbie spotykając się z zawodem — a stanie się rzecz dobra, za którą wdzięczność należeć się będzie przemysłowemu jej inicjatorowi.

— W mieście powiatowem Radzyniu założyła sklep wdowa po urzędniku, p. Sliwińska, i — jak donosi *Gazeta Świąteczna*, przedsięwzięcie to rozwija się pomyślnie, bo sklep jest zaopatrzony należycie w towar dobry, a ceny są sumiennie umiarkowane. Zakładanie takich sklepów po wsiach kościelnych i miasteczkach, pomniejszych zwłaszcza, może się stać korzystną gałęzią pracy kobiecej przy pilnem zajęciu i znajomości rzeczy: przy porządnie prowadzonych rachunkach i zadawaniu się umiarkowanym zyskiem. Sympatya ogółu jest po stronie tych przedsięwzięć. Wspomniana pani utrzymuje jeszcze pocztę w Radzyniu.

— W Płocku zmarła w szpitalu Ś-tej Trójcy ś. p. Tekla Pikalska, siostra miłosierdzia, na tyfus płamisty, który jej się udzielił od chorych, pielęgowanych z poświęceniem. Wielki tłum lu-

dzi wszelkich stanów odprowadził ją na miejsce ostatniego spoczynku.

— W Krakowie odbyła się uroczystość położenia kamienia węgielnego pod budowę przytułku dla dziewcząt moralnie zaniedbanych, fundacji ks. A. Lubomirskiego. Ksiądz biskup krakowski objął główny nadzór instytucji.

— Nagrodę Montyona w summie 500 franków, przyznała Akademia Francuzka p. Gachet-Poradowskiej za powieść: „Demoiselle Micia“. Książka ta, ogłoszona drukiem od lat dwóch, wyszła również w przekładzie polskim.

— P. Dorota Brandhändler z Suwałk otrzymała od paryskiej akademii medycznej stopień doktora medycyny. Teza broniąca przy doktoryzacji była z zakresu chorób dzieciennych, których traktowanie w praktyce ma być specjalnością p. B.

— Hygieniczna Rada departamentu Sekwany wygłosiła życzenie, aby w pracowniach robót kobiecych do szycia na maszynach, poruszanych nogą, niewolno było używać dziewcząt, niemających skończonych lat szesnastu.

— Akademia Francuzka otrzymała 90.000 fr. z zapisu testamentowego po zmarłej w Paryżu Maryi Sobrier, z warunkiem, aby procent od tej sumy był rozdzielony corocznie między trzech autorów najlepszych książek dla młodzieży. Obok tego akademia otrzyma jeszcze na tensam cel 45.000 fr. po zgonie osób, którym legatorka zapisała dożywotnie pobieranie od nich procentu.

— Francuzki prawnik, adwokat Proal, praktykujący w Aix, ogłosił drukiem studia porównawcze przestępstw kryminalnych mężczyzn i kobiet, spełnionych w ostatnim lat dziesiątku. Zbija on teorie badaczy antropologicznych, jakoby kobieta w porywach swych do zbrodni, w uleganiu poszeptom instynktu, zbliżała się więcej, niż mężczyzna do człowieka w stanie dzikości. Wprawdzie bywa więcej, niż mężczyzna, kobiet trucieli, oblewających witryolem, ale na ogół przestępstw, kryminalnie karanych, przypada we Francji znacznie więcej: siedm ósmym, na mężczyzn i Proal stawia wniosek, że kobieta powinna być zrównana z mężczyzną pod względem wszystkich praw cywilnych.

OD WYDAWCY.

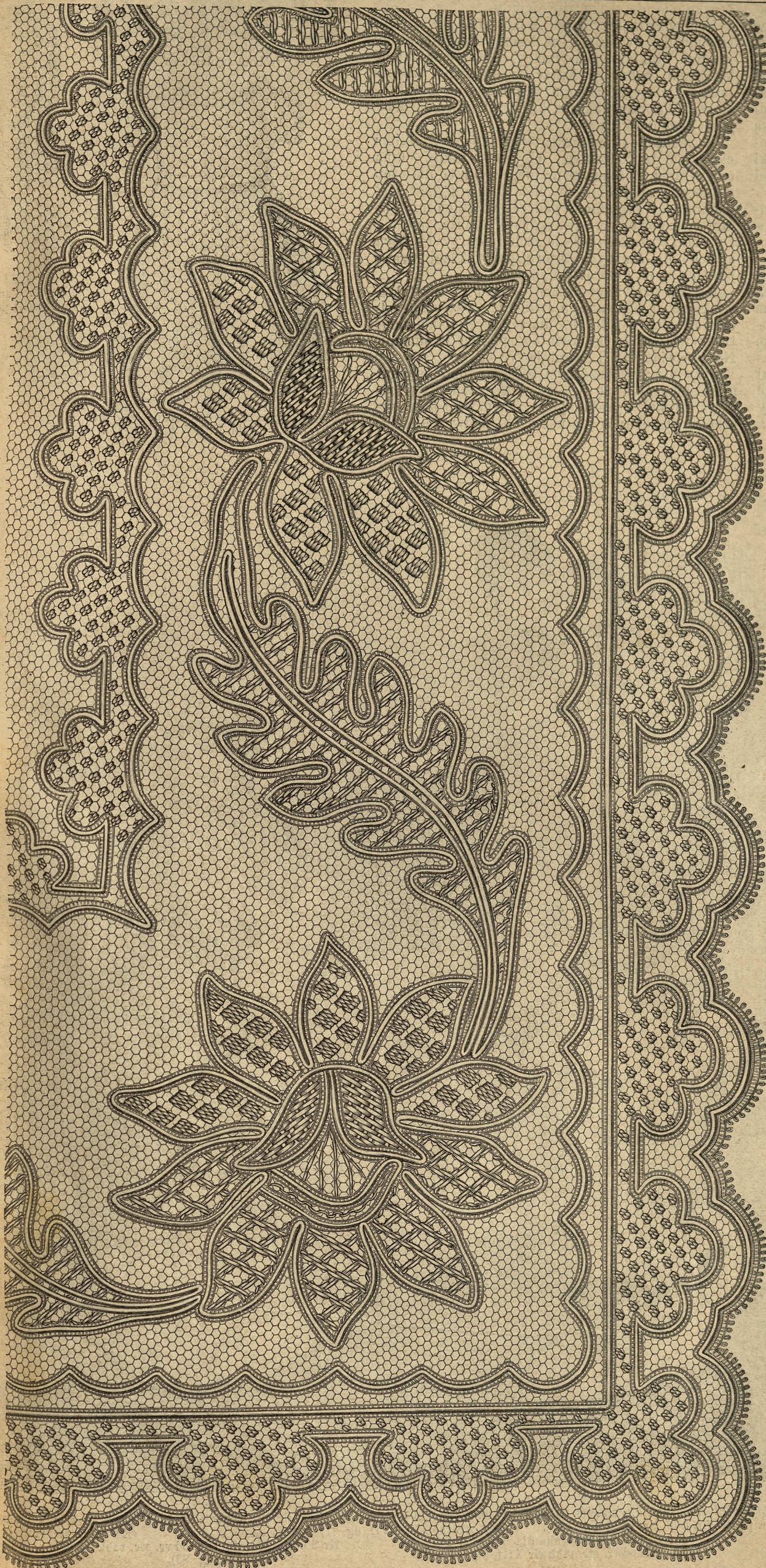
„Bluszcz” w przyszłym kwartale wychodzić będzie pod dotychczasową redakcją.

Szanownym prenumeratorom z prowincji przypominamy wczesne wznowienie prenumeraty, dla uniknięcia zwłoki w przesyłce numerów.

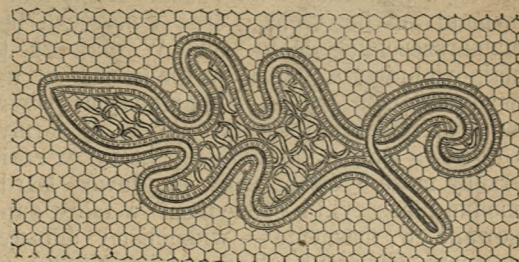
Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się Arkusz 2-gi Tom II powieści pod tytułem: **Szych**, przez Stefanią Wohl. Przekład L. M.

TREŚĆ: Emil van Arenbergh. Z nowej poezji belgijskiej. **Deprofundis**, (wiersz), przez Miriama. — **Pogawędka**. — **Drugie pokolenie**. Powieść oryginalnie napisana, przez M. Gawalewicz. — **Józef Chełmoński**. (Profil krytyczny). — **Przegląd teatralny**, przez Stanisława Krzemińskiego. — **List z Włoch**, przez H. — **Kronika działalności kobiecej**.

Dodatek obejmuje: Arkusz 2-gi powieści, pod tytułem: **Szych**, przez Stefanią Wohl. — **Przegląd mód**. — 40 wzorów, ubiorów i robót z opisem. — **Sekrety gospodarskie**. — **Dyspozycja stołu**.



Nr 2. Szal na witraż (do ryc. Nr 1).



Nr 1. Deseń na witraż Nr 2. (robota przewlekana na tiulu).

Przegląd mód letnich.

Toalety podróżne. — Co należy brać z sobą. — Wielki skład i fabryka przyborów podróżnych, Królewska 1.

Jak natura w lecie przybiera różnobarwną postać, tak i moda wślada za nią, rozwija całe skarby sztucznych świetnych barw i tysiącem nowych pomysłów wzbogaca arsenał damskiej toalety.

Mówiliśmy już o sukniach spacerowych i odpowiednich okryciach, dziś zwracamy się do osób projektujących bliższe lub dalsze podróże, nadmieniając, że tak suknie z materiałów wełnianych, jako też płaszczyki, głównie w tym celu przygotowują w kraty szkockie łagodniejszych odcieni. Suknia w kraty szkockie z lekkiej wełny jest niesłychanie wygodną w podróży, dodawszy do całości płaszczyki długiej z fularu lub lekkiej wełny i duży okrągły słomiany kapelusz przybrany szkocką wstążką bez kwiatów i bez ozdób będzie się nie tylko przywozić ale wykwintnie ubrać do podróży. Jeżeli zaś suknia będzie z lekkiej wełny w kolorach: popielatym beige i t. p. a płaszczyki szkockie, wówczas kapelusz przybrać wstążką w kolorze sukni, lub też kremową czy piaskową etaminą. Obok sukni podróżnej w kraty szkockie, suknia z granatowego materiału wełnianego „serge” lub szewiot trzyma pierwszeństwo przed innymi. Krój sukni podróżnej powinien być zupełnie skromny a przede wszystkim uwzględniona wygoda. Kaftanik, żakiet lub bluzka najwłaściwszą tu będzie formą. Używają bardzo kołnierzyków perkalowych białych z napierśnikiem, co przy otwartym nieco kaftaniku nadaje świeżości całemu ubraniu; krawatka spięta małą szpilczką i kapelusz z miękkiego filcu, wdzięcznie dopełnia podróżną toaletę.



Nr 3. Witraż i draperya (do ryc. Nr 1 i 2).

Lekkie płaszczyki z materiałów jedwabnych doskonale odpowiadają celowi przeciwko pładze kurzu w powozach i wagonach. Robią je z pelerynami lub bez tychże, oraz z prostych brytów namarszczonych około szyi. W płaszczu takim najpowszechniejsza figura wygląda jak w worku, wydymającym się za najmniejszym powiewem wiatru. Nierównie estetyczniejsze są formy palotowej z małym kapturkiem, który w razie potrzeby może być zarzucony na głowę. Bardzo są modne płaszczyki z pelerynami w fałdy zaprasowane w maszynie — widzieliśmy śliczny taki u „pani Clarissy” (Mazowiecka Nr 20) model przywieziony z Paryża z fularu niewarowego.

Nie radzimy w podróży zabierać wielką ilość sukien — można bardzo wygodnie przepędzić cały sezon kąpielowy z trzema lub czterema dobrze obmyślanymi toaletami.

Do podróznego ubrania konieczny jest mały kapelusz filcowy w rodzaju amazonki z zagłębioną główką. Dziś już się nie mówi o zagranicznym filcu, bo fabryka p. Weigta wyrógowała go zupełnie z kraju, trzeba widzieć i dotknąć się tego filcu, aby się przekonać, że nigdy francuski nawet nie był lepszy. A co za śliczne kapelusiki otoczone tylko szeroką wstążką niby męskie i przybrane egretką z piórek, czy to czarną, czy też mieszaną z białym. Taki kapelusik można

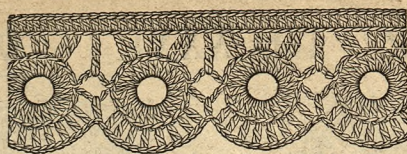
nie zdejmować z głowy w czasie podróży, jest lekki jak piórko, nawet rzuciwszy go na półkę w wagonie nie uszkodzi się nigdy.

Pomiędzy materiałami na lato mamy do wyboru: musliny wełniane w desenie ciągnięte lub rzucone, także same fulary, batysty zamajone kwiatami, zefiry w kraty, drukowane satinki oraz rozmaitego rodzaju letnie czarne materiały bądź to przezroczyście, bądź z tkaniny naśladowającej koronkę i t. p.

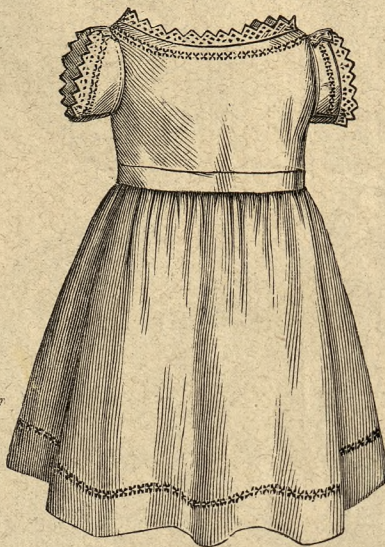
Koronki oraz materiały koronkowe wielkim cieszą się powodzeniem. Używają takowych na całe wetmany a nawet na płaszczyki, co dla osób starszych nie lubiących chodzić do figury jest nadzwyczaj wygodnym podczas wielkich upałów. Hafty maszynowe, atłasowe, sutasze, pletnie i perełki służą zawsze do ozdoby okryć i sukien szczególnie czarnych, które po większej części noszone są na kolorowym spodzie.

Kwiaty przy kapeluszach więcej niż kiedykolwiek dziś są używane a zwłaszcza wszystkie odcienia kwiatów żółtych, dla tego przypominamy tu prywatną fabrykę kwiatów panien Hoffmann, Nowy-Swiat dom Lewentala Nr 41.

Przy coraz większej wziętości wagonów sypialnych namnożyła się wielka ilość rozmaitego rodzaju torebek wyrabianych ze skóry do pomieszczenia potrzebnych na noc drobiazgów i niewin-



Nr 4. Koronka do ozdoby bielizny (robota szydełkowa).



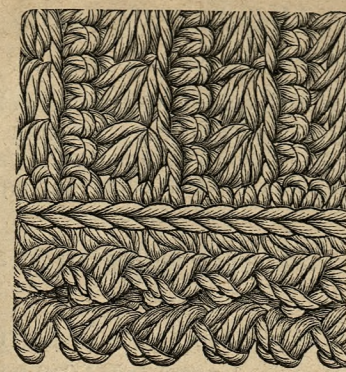
Nr 5. Spódniczka dla dziecka od 1—2 lat. (Kr. odr. str. tabl. Nr XV, fig. 77—79).



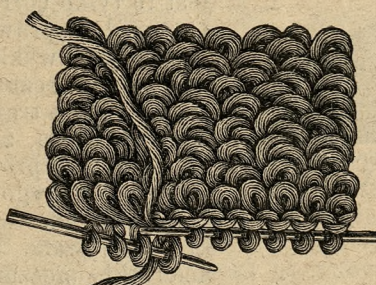
Nr 6. Kapelusz młodej panny



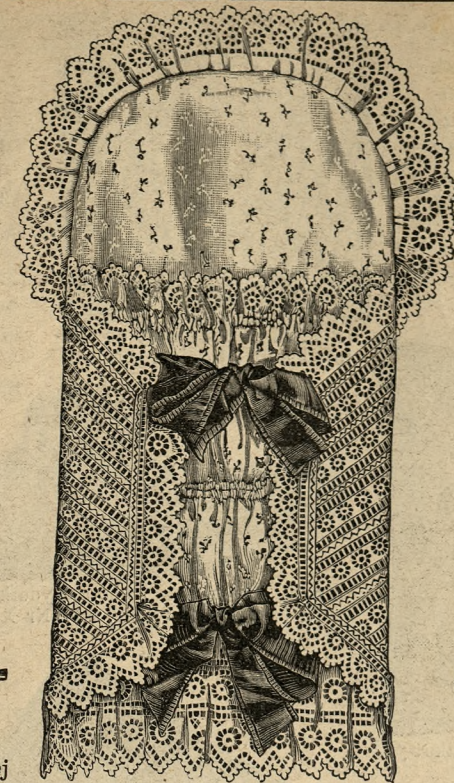
Nr 7. Butek dziecienny robota drut. i szydeł. do ryc. Nr 9 i 15.



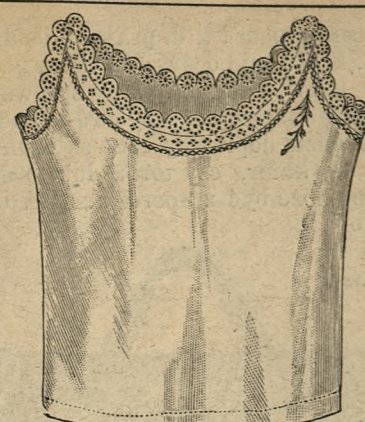
Nr 7. Część roboty szydełkowej (do ryc. Nr 20 i 21 w Bl. Nr 23).



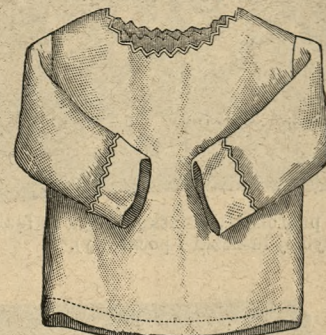
Nr 9. Sposób wykonania wewnętrznej podszwy (do ryc. Nr 8 i 15).



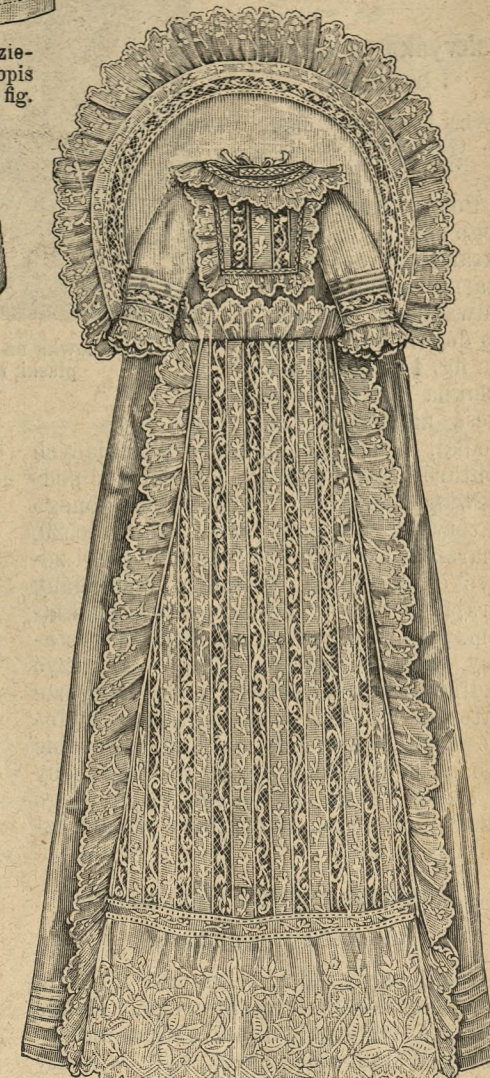
Nr 10. Długa poduszka.



Nr 11. Koszulka dla dzieci od 1—2 lat. (Krój i opis odwr. str. tabl. Nr XVI, fig. 80).



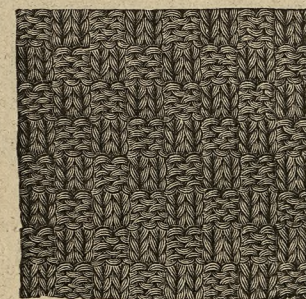
Nr 13. Koszulka dla małych dzieci. (Krój pierw. str. tabl. Nr VII, fig. 43 i 44).



Nr 17. Długa poduszka wraz z sukienką.



Nr 14. Długa sukienka. (Kr. i op. pierw. str. tabl. Nr III, fig. 16—20).



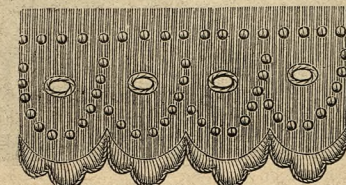
Nr 15. Część zewnętrznej podszwy (do ryc. Nr 7).



Nr 16. Długa sukienka. (Kr. pierw. str. tabl. Nr VIII, fig. 45 i 46).



Nr 18—20. Napierśniki (do ryc. Nr 21 i 22). Kr. i op. do Nr 20 odwr. str. tabl. Nr XVIII, fig. 82.



Nr 21 i 22. Szlak i desenie do ryc. Nr 18. (Haft biały).



Nr 23. Koszykowe dziecięce łóżeczko na podstawie.



Nr 24 i 25. Płaszczki długi i kapelusik. (Kr. odwr. str. tabl. XII, fig. 61—68).

Nr 26. Spódniczka długa dla małych dzieci. (Kr. pierw. str. tabl. Nr IX, fig. 47 i 48).

Nr 28. Majteczki z pieluszką. (Kr. odwr. str. tabl. Nr XVII, fig. 81).

Nr 27. Ranna sukienka dla dzieci od 1—2 lat. (Kr. odwr. str. tabl. Nr XIII, fig. 69—73).

Nr 30. Napierśnik. (Kr. odwr. str. tabl. Nr XIX, fig. 83).

Nr 32. Kaftanik dla dziecka od 1—2 lat. (Kr. pierw. str. tabl. Nr IV, fig. 21—26).

Nr 33. Długa sukienka. (Kr. i op. odwr. str. tabl. Nr XI, fig. 56—60).

nych kosmetyków, jakoto: pudru, cold-cremu i t. d. prawie nieodzownych w drodze — nie bowiem tak z kurzu nie oczyszcza twarzy, jak dobry cold-creme, czysty zaś puder usuwa palenie twarzy spowodowane zmęczeniem — przypominamy wielki magazyn przyborów podróżnych p. Bremajera, Królewska Nr 1, gdzie doprawdy ceny są takie jak zagranicą, a wygoda w tem, że czy to kufer, czy torba lub torebka, wszystko w fabryce przy magazynie może być zreperowane. A co za śliczne paski skórzane — co za pantofelki zagraniczne, a co za koszyczki i wszelkie wyroby koszykarskie można tam dostać — najlepiej pójść i przekonać się na własne oczy.

L. C.

Pelerynka z sukna i aksamitu.

Rycina Nr 10 i 16 w Bl. Nr 23. (Krój pierw. str. tabl. Nr II, fig. 14 i 15).

Pelerynka z zielonego sukna, czarnego aksamitu, ozdobiona czarną pasmanterią z jedwabnego sznurka. Po dopełnieniu złożenia fig. 14 i 15 skrajać z sukna fig. 14 jedną część złożoną wzdłuż środka, z uwzględnieniem wystających konturów lewej połowy. Zaopatrzyć podszewkę z lekkiego czarnego jedwabnego materiału, wykonać szwy od 28 do 29, zmarszczyć w fałdki od * do * i brzegi zeszyć od 30 do 31. Kołnierz wykładany skrajać podług fig. 15 zaopatrzyć podkładem, przyczem zwrócić uwagę na wystający kontur lewej połowy, połączyć wzdłuż brzegu z suknem, podszyc tymże materiałem, obłożyć aksamitem i wyłożyć wzdłuż kropkowanej linii. Ozdobić pasmanterią podług ryc. w sposób, ażeby w tylnej części dochodziła do górnego brzegu kołnierza. Zaopatrzyć w hafteczki do zapinania.

Kapelusz z pleśni słomianej.

Rycina Nr 17 w Bl. Nr 23.

Kapelusz w rodzaju kapotki z pleśni słomianej koloru granatowego. Rondo podszyte materiałem jedwabnym niebieskim. Wstążka $9\frac{1}{2}$ centim. szer. w kraty szkockie.

Kapelusz z bastu i pleśni fantazyjnej.

Rycina Nr 18 w Bl. Nr 23.

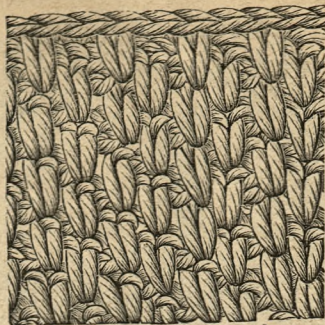
Kapelusz okrągły koloru czarnego, podszyty czarnym tiulem układanym w fałdy. Przybranie stanowi biały tiul haftowany i 5 piór strusich tegoż koloru.



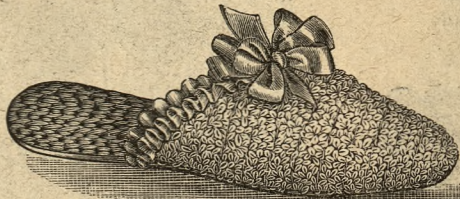
Nr 37. Suknia z kaszmiru i mory (do ryc. Nr 1 w Bl. Nr 23).



Nr 34. Poszewka na podróżną poduszkę. (Ścieg gałązkowy, płaski, rybiej łuszczy i pocztowy).



Nr 35. Część podeszwy do pantofelki Nr 36 (wielk. natur.).

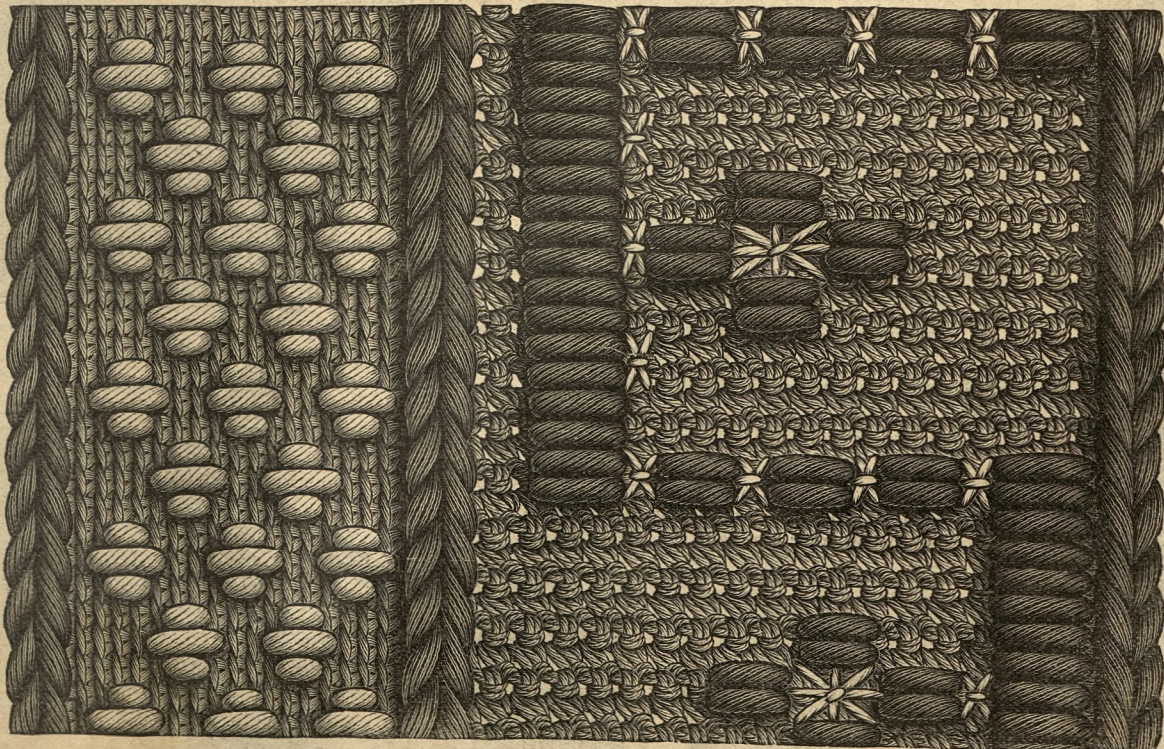


Nr 36. Pantofelek (robota szydełkowa do ryc. Nr 35). Kr. odwr. str. tabl. Nr XX, fig. 84.



Nr 38. Kołdra powozowa od kurzu. (Ścieg gałązkowy, rybiej łuszczy, supelkowy i pocztowy).

Nr 39. Kołdra podróżna (robota szydełkowa) do ryciny Nr 40.



Nr 40. Część kołdry Nr 39 (wielkość naturalna).

Kapelusz z koronki.

Rycina Nr 19 w Bl. Nr 23.

Forma wykonana z drucików pokryta czarnym tiulem. Przybrany koronką układaną w fałdy, wiankiem róż różowych i czarną aksamitną wstążką 3 cent. szer. Klamra dzetowa.

Przepisy gospodarskie.

Poulets (kurczęta „à la Marengo.”)

Znowu jedna z potraw szumnie brzmiących a w rzeczywistości jest to tylko potrawa z kurcząt. Oczyszczyć i oprawić kurczęta zupełnie jak zwykle i upiec je do połowy na rożnie lub w piecu. Zrumienić na troje kurcząt łyżkę młodego masła, zagotować z łyżką maki, rozprowadzić kilkoma łyżkami dobrego bulionu, mieć gotowe obrane w plasterki oliwki, ugotowane szyszkę rakową, amoretki, pieczarki lub trufle — grzebień od tych samych kurcząt oddzielnie na miękko ugotowane, knel (klusieczki małe) z cieleciny tłuczonej, bułki, śmietanki i białka, to wszystko włożyć w sos — kurczęta bez osypywania bułką i bez nadziewania naturalnie, dobrze zrumienione przekroić na połówki, odrzucając niepotrzebne grzbiety — szyszkę i łapki włożyć także, przykryć pokrywą i dusić jeszcze ze 20 minut na wolnym ogniu, żeby kurczęta doszły i wszystko się razem połączyło dobrze. — Otóż to łączenie mawyobrażać wojnę „à la Marengo.”

L. C.

Obiad na Niedzielę.

1. Zupa rakowa.
2. Kotlety wołowe z chrzanem (entre-côte)
3. Macédoine z jarzynek.
4. Kurczęta z mizeryą.
5. Krem czekoladowy.

KORESPONDENCYA.

Odp. panu D...

Sposób gotowania frytury znajdzie pan w 365 obiadach, rozdział III, str. 215, wydanie 15.

Odp. pani M...

I mnie się to zdarzało, iż mleko gotowane się ciągnęło, sądziłam, że było fałszowane, a że u pani ten wypadek nie mógł mieć miejsca, więc pytałam się specjalnego chemika, który mi powiedział, że nawet fałszowane potażem nie powinno się ciągnąć i że innej przyczyny być nie może, jak choroba krwi dojennej.

U W A G A

Tablica krojów objaśniająca wzory ubiorów i robót w Nr 23 Bluszczu służy też do numeru dzisiejszego.